Nr 33 (1233). Warszawa, 31 Lipca (13 Sierpnia) 1904 r. Rok XXIV.

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**w Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

**z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

***Adres: Sadowa Nr. 14***

**Redaktor** przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

**Administracya otwarta** codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



## POLITYKA.

### Bnińscy.

Przed dwoma miesiącami zaczęły obiegać po Księstwie głuche wieści, że Komisya kolonizacyjna nabywa piękny majątek Modliszewo, p. Józefa Żychlińskiego. W tym samym czasie p. Józef Żychlinski sprzedawał folwark swój p. Janowi Bnińskiemu. Pogłoski więc były płonne! Nic, jak najprawdziwsze, bo p. Jan Bniński kupował nie dla siebie, ale dla Komisyi kolonizacyjnej. Prasa jednakże poznańska na pierwszą wiadomość o przestępstwie zamiast ją sprawdzić, poszła odrazu do głowy po rozum i dotychczasową parafialno-przyjacielską, sąsiedzko-bezmyślną metodą zapewniła, że niema niebezpieczeństwa, bo nie ma Komisyi, jest owszem zacny obywatel, z zacniejszemi jeszcze przodkami, który na zagonie ojczystym osiądzie, jakby na ojcowskim i potem swego czoła a siłą swych mięśni uprawiać go będzie. Podtrzymywał tę koleżeńsko-szlachetną dobroduszność sam p. Józef Żychliński: i na nim również nabywca sprawił dobre wrażenie, tak dobre, że nawet mogąc wziąć więcej wziął mniej: poprzestał na tem, co mu już pierwej dawano za Modliszewo. Najważniejszym argumentem dla p. Józefa Żychlinskiego było to, że p. Bniński zatrzymał lokaja i stangreta, i nawet ekonoma — wszystkich Polaków nie odpędził odrazu.

Uderzyło tylko sprzedawcę, że p. Bniński na żonę swoją przepisał nie te 150,000 marek, które się zostały po nim dla jakiegoś banku niemieckiego, ale o 25,000 więcej. Skąd ta różnica, i skąd te pieniędze? Na pytanie to odpowiada p. Krumpholz — czy coś podobnego — agent Komisyi kolonizacyjnej. Są to srebrniki judaszowe, które potomek Piotra z Bnina wziął za pośrednictwo podstępne, szpiegowstwo nikczemne od Komisyi, zmuszonej coraz częściej do wywłaszczania Polaków używać nietylko niemieckich pieniędzy przeklętych, ale i polskich rąk nieczystych. Jeżeli dziwić się potrzeba naiwności publicystów poznańskich, którzy zamiast pogłębić podejrzenie, zasypują je skwapliwie kłamanemi słowami otuchy, to jakże wytłomaczyć sobie tę dobroduszność p. Żychlinskiego, który wiedząc o tem, że p. Bniński był hulaką, grał w karty, żył wyłącznie z oficerami pruskimi, ożenił się pod ciemną gwiazdą, słysząc nawet z jego własnych ust, że będzie przyjmował u siebie Niemców — nie poprosił choćby o 24 godziny do namysłu — i zwierzył się pierwszemu lepszemu lepszemu sąsiadowi swemu ze swych obaw. Byłoby uratowanem i Modliszewo — i on sam. Tak, on sam, bo, chociaż może być uczciwym człowiekiem, nie okazał się tęgim, na miarę nawet codziennej potrzeby, obywatelem. A taki już ratunku potrzebuje — ratunku i opieki.

Nie dodaje mu to wcale aureoli, że nazwał czyn Bnińskiego łajdactwem i nie zawahał się — za organ oburzenia swego użyć *Dziennika Poznańskiego*. Świadczy to dobrze o jego wstydzie narodowo-społecznym i daje, o ile wogóle słowo dać może, rękojmię, że on sam nigdy się takiego łajdactwa nie dopuści. Ale na tem już kończy się cnota, a plama małej przenikliwości, niedostatecznego napięcia obywatelstwa zostaje. Jeśli p. Żychlinski jest istotnie jednostką dodatnią dla społeczeństwa, a nie dla wesołych dam, domów gry i zakładów gastronomicznych, to niewielkiem chyba będzie dla niego pocieszeniem to, że okazując się nietęgim obywatelem, nie jest bynajmniej wyjątkiem z ogółu obywatelstwa szlacheckiego; jest raczej jego typem. Jak najpłyciej rzeźbićswą wolą i pracą swój obowiązek, prześlizgiwać się po powierzchności życia, wytwarzającej przecież dziś w Poznaniu jedne otchłań straszliwych przeszkód i straszliwszych jeszcze pokus — nie widzieć przed sobą, nie czuć w sobie, nie kochać dla niej samej — rzeczy publicznej, lecz raczej we wszystkiem bezpośrednio upatrywać własny interes, a dopiero pośrednio poddawać się nakazowi obowiązku, czy wstydu powszechnego — takim jest przeciętny szlachcic polski w Poznanskiem. A do tego przybywa jeszcze niewytępiona wielkopańskość i życie nad stan, przybywają nałogi niszczące, występuje zmysłowość równoległa z zanikiem umysłowości, twórczości literackiej i naukowej, z tym przerażającym wstrętem do książki, który grozi upadkiem kultury. Skąd tu brać obywateli!

A prasa, chociaż znacznie od r. 1887 postąpiła, chociaż otrząsła się ze szlacheckiej parafiańszczyzny, i dziś już wpatruje się nie w nieomylność i nietykalność powag, ale w treść potrzeb, w światłość ideału każdej szczerej walce przyświęcającego, daleko jest jednak od tego stanu skupienia i energii, jakiego potrzebuje społeczeństwo opadnięte przez wilków stale po niem dniem i nocą pládrujących. W danym wypadku uspakajające, miodowe jej słówka na pierwszą trwogę były występkiem. Jeden tylko *Orędownik* spełnił swój obowiązek, odsłaniając nieczystą robotę. I on jeden tylko po niewątpliwem już spełnieniu przez Bnińskiego łajdactwa zdobył się na słowo dość ostre i głębokie, z którego nietylko prasa, ale obywatelstwo wziąć powinno hasło do poprawy, do urządzenia lepszej i lepiej

obsługiwanej strażnicy narodowej. W każdym pół-obywatelu, jakich teraz są tysiące, drzemie cały Bniński. Ten był już *in actu*, inni są *in potentia*. Czego nie otworzy Komisya 25 tys. marek, otworzy 50 — nie we wszystkich, ale w bardzo wielu dziś utajonych jeszcze wypadkach. Co zdoła powściągnąć egoizmy, a uratować powszechność? tylko żelazne prawo hańby, grożącej, ale dość silnej, aby zagrozić mogła. Za nim przyjdzie nowe pokolenie, któreby pokochało obowiązek, miłowało wspólne dobro i byt wspólny — ojczyznę, niech nad tem, które jeszcze jest — zaciąży cała groza wstydu, wtłaczającego w ziemię. Ale na to potrzeba podnieść skalę publicznego sumienia. Do tego trudu życie powołuje zarówno rodzinę, jak stowarzyszenia, naglej jeszcze z szybszym, dotykalniejszym skutkiem — prasę.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przewidywane natarcie Japończyków na Taszy-tsao spełniło się d. 30 z. m., a zakończyło skutkami odpowiadającymi zamiarom już nazajutrz. Walka była bardzo zacięta. Japończycy otwarcie przyznają się do strat ciężkich: 12 ofic. i 136 żołn. zabitych, 47 ofic. i 848 żołn. ranionych. Straty rosyjskie niewiadome. Biły się tam wojska gen. Stackelberga z pod Ufangkou, a oprócz nich dwie inne dywizye. Całe to południowe czoło armii gen. Kuropatkina ustąpić musiało wskutek przegranej na północ. Nie oparło się nawet w Haiczengu, gdzie od miesiąca wróżono bitwę; jednocześnie bowiem d. 31 lipca (zdobycie przez wojska gen. Nodzu węzłowej pozycyi Simu-czen (Temuczen, Simucza niektórych buletynów) i zajęcie Niu-czuangu lądowego przez świeże wojska, które podobno w sile aż 20,000 wylądowały w ostatnim tygodniu lipca w Niu-czuangu nadmorskim (Inkau), nakazały doskonalsze jeszcze ściągnięcie linii bojowej rosyjskiej na północ, ku Anszang-czangowi, już w połowie drogi do Liao-jangu. Ponieważ ruchy japońskie, które gen. Sacharow nazywa nieporządnymi, niezrozumiałymi dla samego siebie, były bardzo zrozumiałymi dla samych Japończyków i ułożyły się w plan koncentrycznego pochodu na Liao-jang, jednocześnie z działaniami na Niu-czuang, Taszy-tsao i Simu-czen, gen. Kuroki od czoła wschodniego pomknął w d. 30 i 31 z. m. od wąwozów Jangtse i Kasu, na wschód i na południo-wschód od Liao-jangu ku pozycyom rosyjskim i na obu liniach je zajął.

Wszystkie te walki były zapalczywe równie jak pod Taszy-tsao. Pod Simuczen straty rosyjskie podane na 1,500 w zabitych i ranionych nie są przesadzone, gdy się uwzględni stratę 6 dział, które pozostały na pobojowisku. W walce na północy i wschodzie, z gen. Kurokim, padł gen. Keller, ten sam, którego gen. Kuropatkin wysłał był tylko na rekonesans w wąwóz Motien, a on niezrozumiawszy rozkazu, zwiódł bitwę i poniósł klęskę. Miał to być waleczny i nie bez zdolności oficer. Tak mało dotychczas ujawniło się zdolności po stronie rosyjskiej, że strata gen. Kellera będzie dla gen. Kuropatkina ciężką. O namiestniku Aleksiejewie nic słychać, aby się chociaż na widowni walk toczonych pokazał. Siedzi w Mukdenie i odrywa do siebie gen. Kuropatkina. *Nowoje Wremia* bardzo niedobrą chce w czytelników swoich, w całą publiczność rosyjską wszczepić metodę przeistaczania prawdy o wojnie — i zadowolenia potem już ze wszystkiego, co się w tej wojnie dzieje.

Rozprawy wielkiej, stanowczej, decydującej o losie Japończyków, spodziewać się można wciąż pod Liao-jangiem. Ku niej zwierają się kleszcze japońskie. Odwrót do Liao-jangu jest już niezawodnie dokonany (6 b. m), a z Liao-jangu jeszcze otwarty. Już jednak Japończycy zachodzą na prawy brzeg górnej Tai-tsi, już i wzdłuż dolnej, od Niu-czuangu, rozpościerać się muszą, a wtedy położenie się pogorszy. Gen. Kuropatkin pokłada nadzieję w męztwie wojska: niezawodnie, do wojny potrzeba bojowego męztwa, i to jest, ale potrzeba też i bojowego rozumu, a tego dotychczas gen. Kuropatkin nie wykazał.

Dawno już chińską pocztą z Czy-fu, tej istnej kuźni kłamstw, donoszono to o wielkich zwycięstwach, to o wielkich klęskach, mieszcząc je to na 24—27, to na 26—29 lipca. Teraz dopiero raport gen. Stessela do Mukdenu potwierdza krwawe rzeczywiście rozprawy w d. 26—28 lipca. Japończycy pobici, ale straty oblężonych dotkliwe, 1,500 w zabitych i ranionych. Podczas walki wyruszyły na morze cztery krążowniki i torpedowce i ogniem swym raziły Japończyków. Uszkodzenie okrętu japońskiego nie jest potrzebne dla zwiększenia przysługi, jaką oddała oblężonym na lądzie flota. Wogóle tak w Porcie Artura, jak we Władywostoku flota rosyjska pod względem sprawności wyżej stoi, niż na początku wojny, a odpowiednio maleje znaczenie japońskiej. Eskadra władywostocka po istotnie śmiałych i skutecznych wyprawach niszczycielskich — każda wojna państw morskich zawsze w nie obfitowała — zawinęła do swego portu. Oprócz dawniejszych zabrała jeszcze „Theę“ niemiecką. „Knight-Commander“ stawał już przed sądem we Władywostoku: skazany na zabranie. Sprawa „Malakki“ załatwiona, ale tylko na jeden dany wypadek: Balfour d. 6 b. m. w Izbie gmin przyznał, że stosunki były już blizkie naprężenia. Co do „Knight-Commandera“ oświadczył, że rząd angielski stanowczo odmawia prawa do zabierania, jako *bonne prise*, statków neutralnych, a tem bardziej do zatapiania ich, jako podejrzanych.

Statek „Arabia“ nie będzie zabrany, tylko podejrzany towar ulegnie konfiskacie.

*Jour. Officiel* i *Osservatore Romane* ogłosiły jednocześnie dokumenta do zerwania.

Niemcy na Śląsku austryackim poruszyli całą armię swoją w Radzie państwa przeciwko paralelkom czeskim i polskim. Koerber przyjmował ich deputacyę z wyrazem zbiorowego oburzenia. Nas głównie obchodzi to, czy minister oświaty, układając program klas, przyznanych Polakom i Czechom, nie zwróci Niemcom tego, co im wydziera prezes gabinetu. Na ten programat, na osoby nauczycieli powinni teraz dawać baczenie obywatele śląscy. Mogliby łatwo wyjść z kwitkiem, gdyby zawierzyli pięknym na papierze słówkom.

We Włoszech dzieją się nikczemności policyjne, wobec których zadają sobie pytanie: czy nie byłoby lepiej bez konstytucyi, niż z taką, którą policyantom każdej chwili gwałcić wolno?

---

Jan Andruszewski.

# W blasku ognia.

(Dokończenie).

Mrok już padał, mróz brał coraz silniejszy, hen, dawno przed laty, gdy do chałupy wrócił z pogrzebu pijany pałamarz. Cicha komornica rozpaliła ogień w piecu i choć szeroko rozwarta czeluść buchała czerwonym płomieniem, ciepło uciekało z chałupy. Wicher uderzał z mocą w cienkie jej ściany, stroszył, wyrywał słomę z poszycia dachu, jęczał, zawodził w kominie.

To była jedna z tych nocy przestrasznych, których tajemnicę mają w sobie tylko równiny nieskończone.

W górach myśl, wzrok, liść, ptak, uczucie mają się gdzie zatrzymać, do czego przypaść, jak człowiek przypada do błysku lepszych uczuć, jak grzesznik przypada do stóp spowiednika, dziecko do sukni matczynej. A na tych równinach posępnych tylko otchłań krwawego nieba rozwarta w nieskończoność zachodu, w kraj nieścigły ni wzrokiem, ni spokojem....

Wrócił chłop w tę noc z pogrzebu, pijany wódką i strachem. W uszach jęczą mu jeszcze dzwony, w bielmem zaszłych oczach majaczy trumna, jak się chwieje, jak podskakuje na skrzypiącym wozie, na tle krwawego całunu zorzy wieczornej, przyćmionej strzępami czarnych chmur. Mróz przechodzi kości pałamarza, grobowy chłód przenika mu duszę. Uciec mu — uciec od widm, od chłodu, zamknąć oczy czyjemś ciałem, dosłuchać się bicia czyjegoś serca. U otwartego pieca, otulona w szmaty, siedzi blada komornica.

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Burza huczy w polu, wiatr bije o szyby okien gałęziami drzew, obmarzłych lodem, wiązania chaty chwieją się i trzeszczą, a chłop i komornica, drżący od zimna, okryci jednym kożuchem, w tę noc lęku i grozy dają życie dziecku.

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Była to noc poczęcia z oparów wódki i błysków ognia dusznego istnienia Łucia-epileptyka, dziwowiska całej wsi.

O! o! o! Już go tłucze!

I pędzą za nim gromady dzieci.

Głowa Łucia bije o kamienie „cesarskiej drogi,“ o grudę wiosenną, łamie lód w bróździach między zagonami - - gniecie paprocie lasu...

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Nad trupami jego rodziców zapadły się nędzne mogiłki, on pasał krowy u posesora żyda, zbierał na polach perz, chróst, niecił ogień, w purpurę żaru godzinami się wpatrywał. Czasem zdjęty jakąś nagłą, szaloną tęsknotą, do krów się zwracał, po imieniu je nazywał, tulił obitą swoją głowę do ich chłodnych, wilgotnych nozdrzy. Ciepły oddech zwierzęcy dawał mu złudzenie pieszczoty jakiejś nieznanej. I przez ugór, przez pustkę, we mgły, płynące z szuwarów bagien, biegło jakieś ciche westchnienie:

— Ej maty! Maty ridnaja!..

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Lecz od pewnego czasu zaszła zmiana w usposobieniu Łucia. A stało się to, gdy wrócił do wsi z wojska fornal od koni, Semko. Tęgi, jak dąb, parobek wysłużył trzy lata przy ułanach w Żółkwi. Teraz siedzi w kuchni folwarcznej tuż pod oknem, w sinym mundurze ze srebrnymi guzikami, w czerwonej czapce i spodniach, w dużych, świecących, jak czarne lustro, butach z ostrogami. Siedzi, pojada pierogi hreczane z serem i opowiada wciąż o wojsku. Łuć stoi z daleka, czekając na chwilę, aż mu kucharka odmierzy jego porcyę. Odmruczał dziś prędzej pacierze, które odmawiał zawsze, odwrócony do ściany, „aby mu żydy w gębę podczas mołytwy nie patrzyły.“ I słucha, słucha, co Semko prawi a oczy wytrzeszcza, rękę utkwił w kudłach i patrzy, jak dziki kwiat w słońce, w Semkowe guziki świecące, w ostrogi, w czapkę, jak mak czerwoną.

A Semko mówi, że nigdzie nie jest tak dobrze, jak w wojsku, bo tam codziennie

# Z Dalekiego Wschodu.

## KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

W dzień wesela znajomi pana młodego w bogatych szatach udają się wraz z nim o godzinie określonej przez wróżbitów do domu panny młodej. Pan młody jedzie konno albo krytym wózkiem dwukołowym. Przed nim dwóch ludzi niesie biały parasol i żywą, dziką kaczkę — symbol wierności małżeńskiej, owiniętą w czerwoną chustę. Tę kaczkę, albo tekturową jej podobiznę, po przybyciu do domu panny młodej umieszczają na wierzchu misy z ryżem, poczem niezwłocznie wychodzą.

Tymczasem przed głównemi wrotami ojciec pana młodego i cała świta zsiada z koni, pan młody czyni to ostatni; poczem wszyscy rozbierają się z szat uroczystych, zdejmują wspaniałe kapelusze i w zwykłym stroju wchodzą do domu panny młodej, gdzie spotyka ich jej ojciec. Pierwszy wchodzi oblubieniec i znajduje w głównej sali albo umyślnie rozbitym namiocie swą przyszłą małżonkę, którą często widzi po raz pierwszy. Kiedy wszyscy weselnicy się zbiorą, młodych sadzają obok siebie na bogato przybranem wzniesieniu; tam oni czynią ofiarę z kaczki albo jastrzębia i kłaniają się sobie dwa razy głęboko, poczem młoda kłania się cztery razy z kolei teściowi i jednocześnie wszyscy kłaniają się sobie. Przed panem młodym umieszczają misę z owocami jujuby, a przed panną młodą suszonego bażanta; przyjaciółki panny młodej napełniają wódką ryżową, małą czarkę z tykwy, oplecioną czerwonemi i błękitnemi nićmi, zwaną „czarą radości“; pije z niej oblubienica i podaje oblubieńcowi. Po wypiciu przezeń reszty ślub uważa się za dopełniony *). Spisuje się akt na czerwonym papierze i podpisuje przez nowożeńców. Jeżeli małżonka nie umie pisać, to kładzie poprostu rękę, którą oprowadzają wokoło tuszem. Dokument rozcina się na dwie połowy i części wręczają się mężowi i żonie; ci chowają je pilnie, gdyż nawet w razie rozwodu tylko mąż posiadający obie połowy dokumentu ma prawo ożenić się po raz drugi. Niekiedy pan młody daje teściowi dodatkowe zobowiązanie na piśmie, że dochowa wierności jego córce.

Panna młoda oddala się niezwłocznie na żeńską połowę domu, a pan młody ucztuje z gośćmi. Często ci w czasie zabawy rzucają się nań i próbują go uprowadzić do domu, lecz wówczas zjawia się teść i wykupuje zięcia. Goście odchodzą, odprawia ją służbę pana młodego, obdarowawszy ją uprzednio. Pan młody idzie do przygotowanej dla siebie komnaty, dokąd po niejakim czasie matka i krewna przyprowadzają pannę młodą i natychmiast odchodzą. Młodzi ludzie zaledwie wtedy mogą się sobie dobrze przyjrzeć i zamienić słów kilka, gdyż w czasie całej ceremonii nie wolno im mówić z sobą, zwyczaj wymaga nawet, żeby tej pierwszej nocy żona unikała rozmowy z mężem.

Wogóle według pojęć korejskich żona nigdy nie powinna dużo rozmawiać z mężem, jeszcze mniej z teściem, z szwagrami wcale, a tylko z teściową i to z wielkim bardzo szacunkiem.

Wczesne i przymusowe zaślubienie kobiety nieznanej czyni zupełnie zrozumiałem zdanie, wypowiedziane do p. I. B. Bishop przez pewnego Korejczyka:

„Żenimy się z żonami, lecz kochamy się w nałożnicach“ *).

Nazajutrz młoda mężatka zaplata włosy już nie w jeden, lecz w dwa warkocze i to uczesanie zachowuje na całe życie. Jednocześnie traci imię, nadane jej w dzieciństwie. Odtąd nawet własni rodzice nazywają ją nieokreślonem mianem powiatu lub miejscowości, dokąd wyszła zamąż, a krewni męża — imieniem tego powiatu, gdzie mieszkała, jako panna i skąd ją wzięto... Inni nazywają ją poprostu „pani (kobieta) takiego to“ lub „dom takiego to,“ wreszcie po urodzeniu syna otrzymuje nazwę „matki takiego to.“ Skoro zaś w jakiej sprawie sądowej okaże się potrzeba ściślejszego określenia jej osoby, urzędnik daje jej chwilowe, przygodne nazwisko. Wchodzi ona niby we wszystkie prawa męża i podziela jego majątek, staje się szlachcianką, skoro wyszła za szlachcica i bogatą, jeżeli była biedną, mąż powinien utrzymywać ją przyzwoicie, ale... wszystko to w istocie zależy od charakteru, dobrej woli oraz miłości tego męża. On jest właściwie źródłem jedynem jej bytu i nawet od niego zależą jej lata, gdyż młodziuchna siostrzenica, wychodząc za mąż za starszego brata męża swej rodzonej ciotki, staje się wskutek tego jej *starszą siostrą* *). Żona prawna uważana jest za zwierzchniczkę wszystkich żeńskich członków rodziny i matkę dzieci nałożnic, jeżeli mąż z czasem je sobie weźmie, gdyż prawo pozwala na to i wierność małżeńska obowiązuje tylko kobiety.

— Żona moja nie śmie mi nic powiedzieć za moje zabawy ze śpiewaczkami (ki-sań)... Ona powinna się cieszyć, że mi jest wesoło — mówił mi pewien Korejczyk.

Następnie opowiedział ze zgorszeniem i przerażeniem, jak w Europie był świadkiem, że żona, przyłapawszy męża na miłostkach ze sprzedajnemi dziewczętami, uderzyła go w twarz, a następnie strzeliła doń z rewolweru.

— I cóż!?.. Nic z tego dobrego nie było!.. Zabiła go, a potem siebie... Bez żadnej korzyści... U nas nigdy tego nie bywa... My możemy trzymać, ile kto chce kobiet, na ile nas stać!..

— A kobiety?

— Kobiety co innego!.. Na mężczyźnie nic zostaje nawet śladu, a kobieta ma dziecko!..

Dlatego to zapewne niewierną żonę mieli prawo Korejczycy jeszcze bardzo niedawno odprowadzić do urzędnika, który karał ją okrutną chłostą, a nawet za zgodą męża oddawał w niewolę lub sprzedawał, jako nałożnicę służbie biurowej lub straży. W starożytności skazywano je na śmierć. Skoro żona, doprowadzona do ostateczności złem obejściem męża, uciekła od niego, mógł ją poddać publicznej chłoście i zmusić do powrotu.

Łagodni Korejczycy srodze biją żony. Pewna filozofia wschodnia o miłosnych

*) Podobny akt z małemi zmianami jest kluczem zaślubin japońskich.

*) „Korea and Her Neighbors,“ str. 343.

*) Niewątpliwy ślad rodziny swoistej.

---

dają mięso na obiad i knedle ze słoniną na „zupeis,“ a robić niewiele trzeba i wyspać się można.

— Od żołnierza — prawi Semko — poczyna się dopiero człowiek, a „cywil“ każdy, choćby i najbogatszy, jakby na ten przykład sam hrabia z Krasnego Boru, to nie stanie nawet za „szufecę“ podłego „infanterzysty,“ a cóż dopiero mówić o ułanie? Ten jak sobie zakurzy w niedzielę „zygar“ „do twarzy,“ słomkę z niego założy za ucho i tak wyjdzie na „śpacyr,“ brzękając szablą po „frotyrzu“ — to już żadna dziewka ani „spoźrzy“ na „cywila,“ „tyło“ patrzy w ciebie i patrzy, aż ślepia zrywa, a ty sobie wtenczas wybieraj, czego dusza „zababnie.“ Rozumiesz, Łuciu?

A Łuć stoi ciągle z oczyma wlepionemi to w guziki Semkowego munduru, to w jego czapkę czerwoną, to w buty, to w Semka samego.

Podjadł wreszcie „ułan,“ wstaje z ławy. Brzęczą ostrogi. Dziewki od podoju i praczka patrzą na niego z zachwytem. On okracza ławę i wychodzi, kurząc cygaro. Za nim, jak cień szary, sunie Łuć.

— Semku?

— Co?

— A do wojska biorą pastuchów?

Semko śmieje się całem gardłem.

— Chcesz „rukować“?.. A no to pójdziesz... Jak ci się skończy dwadzieścia lat, musisz stanąć do asenterunku. Znajesz?

Odchodzi w sad, gdzie stoją rzędami ule, a grusze rozłożyste toną pniami w trawie.

Błyszczą w słońcu z daleka guziki, ostrogi, czerwieni się jak mak czapka żołnierska.

. . . . . . . . . . . .

I od tej chwili ogarnęła Łucia gorąca żądza dostania się do wojska. Nie miał jeszcze dwudziestu lat i właśnie ma stawać jesienią do poboru w Żółkwi

A może go i wezmą?

Nie myśli o swojej chorobie, może i nie wie, że nie biorą z nią do wojska, nic oblicza niczego, widzi tylko jeden cel, jeden raj na ziemi, jedno słońce na niebie: wojsko!..

. . . . . . . . . . . .

I dziś, kiedy tak stoi w kręgu płonących ognisk, nad sobą ma biały księżyc, za sobą purpurę zorzy, a wokół gwiazdy — oczy jego widzą w smugach dymu szeregi sunących się żołnierzy, odzianych w błękitne mundury o błyszczących guzikach, widzi ich, jak idą długim korowodem, paląc cygara, syci, zadowoleni z siebie, bo jedzą codzień mięso na obiad...

Ciągnie go do nich, jakaś siła nieprzeparta pcha go naprzód... Poczyna zwolna przysuwać się do ognia, coraz bliżej, bliżej; zdawałoby się, chce się skąpać w płomieniach, rozpłynąć się w nich śladem swych myśli. A może ozwał się w nim wnuk Druidów, co strzegli świętych Zniczów po głuchych borach, zapatrzeni w wiecznie sycone Płomię, ludzie-widma o oczach zaszłych krwią od jego krwawych blasków.

. . . . . . . . . . . .

Nagle krzyk, wycie, ryk, ni to wołu zabijanego, ni to dławionej wilczycy, której zabrano szczenięta, ni to roztęsknionego wiosną niedźwiedzia, ni to wichru, co gnie do ziemi konary, druzgoce drzewa...

Po pierwszym krzyku jeszcze drugi trzeci i cisza...

Stos silniej buchnął od wichru, rozsypał się skrami po ciemnem już tle wieczornego nieba.

A tuż koło ogniska tarza się, wije po rozpalonej ziemi i gorącym popiele człowiek-upiór straszny, z wykrzywioną twarzą, przygryzionym zębami językiem, wychodzącym z ust, opienionym śliną, ociekającym krwią...

. . . . . . . . . . . .

Porwały się krowy z pastwiska, odzywają się rykiem na wrzask Łucia. Zadarłszy ogony, ze spuszczonymi ku ziemi łbami, o wyłupionych, krwią zaszłych ślepiach, buchając parą z pysków, pędzą do ognia, obstępują wkoło stos i żywe, rzucające się w konwulsyach epilepsyi, nieprzytomne widmo człowiecze.

. . . . . . . . . . . .

W stronie zachodu lśni jeszcze wązki, jasny rąbek zorzy; od wschodu płynie wielki, złoty księżyc coraz wyżej, migają gwiazdy, to płynąc, to przygasając.

własnościach bata tkwi mocno w umysłach mężów korejskich. Sfery wyższe, unikając gwałtów osobistych, szeroko stosują rozwód. Za powód do rozwodu służy: niewiara małżeńska, zazdrość, bezdzietność, swarliwość, choroby. O rozwód może się starać wyłącznie mąż, nie ma on jednakże prawa bez zgody żony ożenić się powtórnie za jej życia.

Przedstawia to pewną, bardzo słabą broń w ręku kobiety. O wiele skuteczniejszą rzeczą są dzieci i przywiązanie męża. To ostatnie umieją Korejki zaskarbić sobie dzięki swej wielkiej słodyczy i powściągliwości, w których dorównywają prawie Japonkom.

Korejki namiętnie kochają dzieci, są one jedynem niemal źródłem ich szczęścia *). Pojawieniu się dziecięcia towarzyszą rozmaite obrzędy i gusła. Kobieta ciężarna powinna wystrzegać się wielu rzeczy, a szczególniej ludzi w żałobie, dlatego wychodzi ona z domu jak najmniej. Skoro tylko poczuje, że zbliża się chwila rozwiązania, przenosi się do osobnej izdebki, gdzie podłoga wysłana jest miękką słomą ryżową. Przy połogu są obecne jedna albo dwie jej krewne, które myją nowonarodzonego ciepłą wodą i wyrzucają za drzwi jedzenie dla zapewnienia mu szczęścia. Data przyjścia na świat dziecka, starannie zapisana, zostaje niezwłocznie oddana wróżbicie dla określenia jego przyszłości. Położnica odżywia się z początku tylko ciepłą wodą z miodem oraz jakiemś niezwykle gorzkiem lekarstwem, wyrobionem z żółci niedźwiedziej. Trzeciego dnia słoma zostaje wyrzucona i podłoga zaściela się matą. Cały czas niedomagania karmią ją ryżem i zupą z morskich wodorostów (kapusty).

*) Podanie o słynnym moście Hijo-bul-hijo w Kion ciiu, starożytnej stolicy państwa Silla, wyraża tkliwy i subtelny nieraz stosunek synów do matek. Miał on być tak nazwany dlatego, że pewna niewiasta, matka siedmiu synów, prowadziła życie rozwiązłe i w tem miejscu nocą przechodziła przez strumień do swoich miłostek. Jej synowie, po naradzie, zbudowali w tem miejscu most. To zawstydziło niewiastę i poprawiło ją, ale most otrzymał nazwę „obowiązkowy i nieobowiązkowy," bo synowie tylko względem matki dopełnili obowiązku, zapominając o obowiązkach względem zmarłego ojca. („Jo-dźi Söng-nam." Korea Repository, 1897. Novemb., str. 414).

W ciągu pierwszych 7 do 10 dni nikt ze znajomych nie powinien nawet wchodzić do domu położnicy. Pierwsze trzy dni niemowlę karmią ryżem, następnie już piersią matczyną. Korejka długo karmi dziecko, a jeśli ma tylko jedno, daje mu pierś nawet do lat 12.

Po niejakim czasie położnicę i nowonarodzonego odwiedzają znajomi i ofiarują im drobne podarunki. Dziecięciu, jeżeli to był chłopak, dają wkrótce *pierwsze* imię, dziewczynka musi nań czekać znacznie dłużej.

Korejczycy mają około sześciu osobistych, wciąż zmieniających się imion *).

1) Pierwsze imię — ä-miön, imię dziecine w rodzaju: perełka, cnota, piękność, tygrys, prosię, pies, żaba, oko królewskie, wreszcie smok z dodatkiem — złoty, dobry, cichy itd.

2) Piöl-mion — przezwisko nadawane w późniejszym wieku, zależnie od charakteru osobnika, jego powierzchowności lub jakiego wypadku, np. „kret" — krótkonogi, „orzeł" — straszny itd.

3) Koań mion — imię właściwe, rodowe, które otrzymuje chłopak w dzień ślubu, jako znak pełnoletności. Pod tem imieniem jest on wciągnięty do spisu ludności. Główną jego częścią składową jest „hań-ioldza," czyli znak rodowy. Dźwięk ten powinno zawierać każde imię, gdyż on określa należenie do pewnego rodu. Głowa rodu zawczasu układa szereg takich imion rodowych, zawierających dźwięk niezbędny. Nadaniu koań-miöń towarzyszą zabawy, uczty i ceremonie z udziałem przyjaciół i krewnych.

4) Dza-ho — imię rodzinne, poufałe, używane przez najbliższych przyjaciół i krewnych w stosunku do równych wiekiem lub młodszych.

5) Piöl-ho — imię wyróżniające, z jakiem zwracają się młodzi do starszych, gdyż im nie wolno używać ani rodowego, ani poufałego. Nazywają więc starszego brata albo stryja „ojcem takiego to," jeżeli ma synów, jeśli zaś jest bezdzietny, to „piöl-ho" wyznacza mu rada familijna.

6) Czin-ho — imię chwalebne, nadawane po śmierci za zasługi społeczne.

Do lat 8—10 dziewczynki i chłopcy chowają się razem i często nagie, tłumnie biegają po ulicach, lecz potem rozdzielają ich według płci i zaczynają traktować odmiennie. Dziewczęta zostają zamknięte na żeńskiej połowie domu, skąd wychodzą dopiero jako stare, zwiędłe niewiasty; tam uczą je szyć, trochę pisać, czytać i gospodarstwa domowego. Wmawiają w nie, że rzeczą hańbiącą są zabawy i rozmowy nawet z braćmi, że powinny kryć się przed mężczyznami, gdyż spojrzenie obcego poniża i plugawi kobietę, a dotknięcie nazawsze ją kala. Chłopcy zamieszkują na męzkiej połowie domu, zaczynają chodzić do szkoły, obcować wyłącznie z mężczyznami lub chłopcami rówieśnikami, nie bywają na żeńskiej połowie domu i mają wpojone przekonanie, że wstyd mężczyźnie obcować z kobietami, wstyd okazywać swe uczucia dla nich i wogóle zwracać na nie zbytnią uwagę. Stąd to płynie, że mąż nigdy nie wtajemnicza żony w swe interesa, unika z nią rozmów przydługich, że z góry traktuje matkę, nigdy nie przyznaje się do miłości dla kobiety i uważa za rzecz śmieszną i poniżającą płakać na grobie małżonki.

*) „Kor. Repository," 1895, str 426.

(C. d. n.)

*W. Sieroszewski.*

## ŻYCIE SPOŁECZNE

# LISTY GALICYJSKIE.

Sprawozdanie inspektora przemysłowego okręgu krakowskiego.

Sprawozdania inspektorów przemysłowych stanowią bodaj najważniejsze źródło informacyj o położeniu robotników galicyjskich, to też zawsze z ciekawością bierzemy je do rąk, ażeby przekonać się na podstawie sumiennie zebranych faktów, czy w tej dziedzinie da się spostrzedz jakiś postęp. Odkąd zamiast jednego (wraz z Bukowiną) okręgu Gali-

---

Wokół ogniska czerni się żywy wał zbitych w gromadę cielsk krowich, a z jego czerni wypada co chwila ryk, lament i idzie z rosą po ścierniach, na łąki, na ugór, gdzie kona na żywych jeszcze i więdnących już od mrozu ostatnich ziołach jesiennych.

W ogniu pali się, skwierczy ocieka, pryska krwią prawa ręka epileptyka—dziecka pałamarza, pijaka i komornicy, pośmiewiska, wzgardy całej wsi...

* * *

Śnieg prószy lekko, spokojnie.

Pierwszy śnieg listopadowy.

Pokrył rżyska wyciągniętem w bezmierne dale płótnem, spowił je miękko na sen, na spokój, na ciszę...

* *

Na wygiętej w lirę płowo-żółtej sośnie bliźniaczej przysiadł Łuć, wracający z Żółkwi, gdzie stawał do poboru, bo skończył już dwadzieścia lat.

. . . . . . . . . . . . .

Szedł drżący od radości, nadziei...

Zęby mu aż błyskały wśród warg zaślinionych.

Z krowami pożegnał się serdecznie, tuląc obrzękłe policzki do ich wilgotnych pysków.

Idę do wojska.

„Strilba" — mięso —knedle—ciepło...— ryczał bydłu na pożegnanie, stojąc na progu obory.

Rękę spaloną i chorą owinął w szmatę oddartą od płachty, w której noszono koniczynę.

Wyleczą! W wojsku wyleczą!..

. . . . . . . . . . . . .

Wrócił i przysiadł na sośnie. Bosy, w łachmanach, roczochrany, straszny. Beznadziejna rozpacz wykrzywia mu usta. Twarz ma tak szarą, jak stężałe mrozem pole równin, ciągnące się martwą szarotą jesienną.

Nie chcieli go wziąć do wojska. Epileptyk — rękę ma spaloną...

Z tej ręki, którą zeżarł mu ogień, spadły łachmany. Śnieg pada na nią, znacząc się drobnemi, srebrnemi łuskami na odartej ze skóry, czerwono-sinej ranie.

Porosła „dzikiem mięsem," ociekła ropą, palce się pozrastały. Krwawy kawał ciała o paznokciach, sterczących zeń w kształt wbitych w pałkę gwoździ, podobny raczej maczudze, oblepionej krwią i mózgiem, niż ręce.

. . . . . . . . . . . . .

I znów zachodzi słońce. Przestał śnieg padać, wypogodziło się, wyiskrzyło. Wielka, krwawa, bezpromienna kula chyli się za rąbek czarnych chmur o złotych brzegach.

Chwila i morze purpury zalewa biel ziemi, a po niem smutne i ciche kładą się fioletowe cienie drzew i stert po polach.

Słoneczna kula tonie w wale chmurnym, poczyna blednąć czerwień przestrzeni i mienić się różem, jakby ją Bóstwo Wiosny zasiało kwieciem głogu i jabłoni. Śnieg poczyna ciemnieć i sinieć, zrazu po śladach nóg ludzkich i bydła, w kolejach wyżłobionych przez sanie.

Aż wreszcie zwolna, zwolna, cały ogrom pól przybiera ton głębi niebieskiej, zlewa się z nią krańcami w jeden odmęt bezbrzeżny, coraz ciemniejszy, cichszy straszniejszy.

. . . . . . . . . . . . .

Na sośnie w kształt liry siedzi jeszcze samotny cień ludzki, schylony, podany naprzód, jakby wtulić się chciał w mrok, co prószył dokoła.

I coraz niżej kłoni głowę, coraz bezwładniej opuszcza ręce po sobie.

Aż nagle krzyk straszny, ni to dławionej wilczycy, pozbawionej szczeniąt, ni to roztęsknionego wiosną niedźwiedzia, ni to wichru, co gnie do ziemi konary, druzgoce drzewa...

I spada z pnia w konwulsyach „Wielkiej Choroby" ciało człowiecze, tłucze sobą o ziemię, miota się, pręży, wypina...

Chora ręka, podobna do okrwawionej mózgiem maczugi, to tłucze śnieg, wyrzuca ziemię, to oblepiona piaskiem wyciąga się w noc cichą, gwieździstą, spokojną, jakby pisać chciała po niej: „Ecce homo"!..

cya posiada trzy, z trzema inspektorami przemysłowymi, danych, oświetlających te stosunki, przybywa corocznie wtrójnasób. Świeżo ukazało się sprawozdanie p. Zygmunta Kremera, inspektora przemysłowego XXIX okręgu z siedzibą urzędową w Krakowie. Okrąg ten, obejmując 2,380 mil kwadratowych, ogarnia najbardziej przemysłową część kraju, bo powiaty Krakowski, Podgórski, Chrzanowski, Bialski, a więc właśnie te, gdzie ogniskuje się cały prawie zachodnio-galicyjski przemysł górniczy i tkacki. Wskutek tego, że w okręgu znajdują się takie centra, jak Kraków, Biała, inspektor przemysłowy jest przeciążony pracą i może pełnić swe funkcye w bardzo niedostatecznej mierze. W każdym razie obecny stan rzeczy, pomimo swej anormalności znacznie odbiega od owych poprostu potwornych stosunków, jakie panowały jeszcze przed paru laty, kiedy p. Nawratil, inspektor przemysłowy, musiał obsługiwać całą Galicyę i Bukowinę — od Białej aż do Czerniowiec.

P. Kremer wraz ze swymi podwładnymi zwiedził w roku ubiegłym 537 przedsiębiorstw i dokonał w nich 578 rewizyj. Z tej liczby 16 przypadło na porę nocną, 36 zaś na niedzielę. Z liczby 53 przedsiębiorstw przemysłowych, które zatrudniały 22,174 robotników obojga płci, było 334 obowiązanych do asekuracyi od nieszczęśliwych wypadków, 221 posiadało ruch fabryczny, 252 zaś pracowało bez motorów. W ciągu roku ubiegłego inspektorat przemysłowy w Krakowie otrzymał 350 zaproszeń do czynności komisyjnych różnego rodzaju, na co potrzeba było 177 dni podróży za miastem, a 72 dni w obrębie Krakowa. Przeciwko 22 przedsiębiorstwom inspektorat krakowski wniósł doniesienie do władz przemysłowych z powodu 205 wykroczeń przeciwko przepisom obowiązującym.

Według zdania p. Kremera, sprawa ochrony zdrowia i życia robotników nieco postąpiła, ale w bardzo małej mierze i pozostawia bardzo dużo do życzenia. Rewizye inspektora przemysłowego odkryły mnóstwo braków nietylko w urządzeniu fabryk, ale nawet w samej ich budowie. Fabryki, w których sklepienia były porysowane tak, że lada chwila mogły runąć, w których kominy zagrażały zawaleniem się przy pierwszej znaczniejszej burzy, bynajmniej nie należą do rzadkich wyjątków. Życie i zdrowie robotnika, zwłaszcza w mniejszych przedsiębiorstwach, jest lekceważone w sposób karygodny. W bardzo wielu fabrykach i warsztatach niema schodów i drabin bezpieczeństwa, a miejsca ustępowe urągają wszelkim wymaganiom hygieny. Liczba wypadków, o których wiadomość doszła do inspektora w r. 1903, wynosiła 313, z czego 15 skończyło się śmiercią. Naturalnie liczba ta była w rzeczywistości znacznie większa. P. Kremer przytacza parę faktów, ilustrujących lekceważenie życia pracowników przez przedsiębiorców. Tak np. pewien nożownik wziął do pracy dziewczynę 12-letnią i postawił ją odrazu przy maszynie do cięcia blachy. Noże maszynowe nie posiadały przyrządu ochronnego, więc dziecko zaraz pierwszego dnia odniosło ciężkie okaleczenie.

Z pomiędzy 22,174 robotników, zatrudnionych w przedsiębiorstwach przemysłowych okręgu krakowskiego w r. 1903, mężczyzn było 17,649, kobiet zaś 4,525. Robotników młodocianych (nawet poniżej lat 12) było 5,9%, robotnic młodocianych bez mała 8%. Liczba robotnic wzrasta ustawicznie.

Wykroczeń przeciwko przepisom o długości dnia roboczego jest bardzo mało — i coraz mniej w zakładach charakteru fabrycznego, natomiast w warsztatach praca po dawnemu przeciąga się bardzo często po za przepisany dzień roboczy. Dotyczy to zwłaszcza terminatorów szewckich, prasowaczek w pralniach, robotników w piekarniach i służby w łazienkach. Tak samo przedsiębiorcy dopuszczają się licznych nadużyć co do przerw na wypoczynek i co do spoczynku niedzielnego.

Głównym brakiem inspektoratu przemysłowego w Galicyi jest to, że inspektor nie posiada żadnej władzy wykonawczej. Spostrzegłszy nadużycia, nie może im zapobiedz odrazu na własną rękę, tylko musi się udawać do władz administracyjnych. Interwencya zaś tych ostatnich, sprowadzająca się zwykle do nałożenia nieznacznej kary pieniężnej, żadnych prawie skutków nie wywiera i inspektor przemysłowy często musi po kilka razy skarżyć jednego i tego samego przemysłowca.

Położenie ekonomiczne robotników w roku ubiegłym nie wykazuje żadnego polepszenia. Dżdżyste lato ostatnie bardzo ujemnie wpłynęło na ruch budowlany i skojarzone z nim gałęzie przemysłu. Po za tem powódź — tak pośrednio, jak bezpośrednio — była dla robotników wielką klęską.

P. Kremer podaje garść danych, dotyczących budżetu domowego robotników w powiatach Bialskim i Żywieckim. I tak; pewien giser, ojciec sześciorga dzieci, posiadający dom i mórg gruntu, zarabia 36 koron miesięcznie. Najstarszy syn zarabia w tej samej fabryce 35 koron. Oto budżet domowy tej rodziny, która posiada krowę i otrzymuje ziemiopłody z własnego pola: środki żywności (mięso raz na tydzień) 35 koron, oświetlenie (przeciętnie) 1 k. 44 hal., opał 4 kor., odzież 20 k., wydatki na szkołę 68 hal., kasa bracka 1 kor. 86 hal., kasa dla chorych 72 hal., kasa dla chorych członków rodziny 58 hal., napoje alkoholiczne 40 hal., podatek 1 k. 8 hal., prestacya drogowa 42 hal., żywność dla krowy prócz zebranej z pola 90 hal. — razem 67 kor. 8 hal.

Ponieważ zarabia wraz z synem 71 koron, przeto ma 4 korony zwyżki. Inny robotnik, żonaty, ale bezdzietny, zarabia 120 koron miesięcznie, wydaje zaś tylko 67 koron, jedząc mięso codziennie. Wobec tego ma 500 koron w kasie oszczędności. Natomiast jeszcze inny robotnik, pracujący w odlewni w Białej, żonaty, ojciec dwojga dzieci, zarabia 110 koron, wydaje zaś 112 k. 51 h. miesięcznie, czyli że miałby deficyt w wysokości 2 k. 51 h., gdyby go nie pokrywał z ubocznego zarobku. Budżety robotników okręgu krakowskiego są bardzo skromne. Bardzo wielu z nich jada mięso tylko w święto uroczyste.

Na ogół biorąc, położenie robotników w Galicyi Zachodniej pogorszyło się znacznie w roku ubiegłym, co się natychmiast odbiło w zwiększonej liczbie wychodźców. Cyfra wychodźców do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej z okręgu inspektora krakowskiego wyniosła w roku 1903 — 19,000 głów. Jest to najwyższa cyfra wychodźców w ciągu ostatnich lat 10. Oprócz wychodźstwa do Ameryki wzmogła się i europejska emigracya zarobkowa. Bardzo znaczna liczba robotników udała się do Niemiec i Danii, gdzie znalazła zajęcie bądź w rolnictwie, bądź w sezonowych przedsiębiorstwach przemysłowych.

Bardzo smutno się przedstawia sprawa mieszkań robotniczych. Na tem polu nie znać postępu prawie zupełnie. Powódź przeszłoroczna zalała i zniszczyła mnóstwo mieszkań robotniczych, skutkiem czego wzrósł bardzo popyt na nie, co pociągnęło za sobą podniesienie się komornego. Pewien postęp daje się zauważyć gdzieniegdzie w masarniach i piekarniach krakowskich, ale to, że czeladnicy piekarscy śpią w piekarniach samych, nie należy do rzadkości. Fatalnem jest położenie ceglarzy. Są cegielnie, w których robotnicy nocują pod gołem niebem na słomie, a pewna cegielnia uznała za właściwe odnająć mieszkania, przeznaczone dla robotników, letnikom. Niektóre fabryki, zwłaszcza na wsi, dają robotnikom bądź bezpłatnie, bądź tanio mieszkania, ale często robotnicy nie posiadają wcale mieszkań.

Oto smutny, choć, niestety prawdziwy obraz położenia ekonomicznego robotnika galicyjskiego.

*Daleki.*

# Powrót do dawnej medycyny.

Niegdyś lekarze sądzili — mówi dr. Romme w nr. 15 *La Revue* — że przyczyną chorób, trapiących organizm ludzki, były tak zwane „humory," płyny drażniące itp., które wytwarzały się we krwi, w tkankach ciała i były z nich wydalane. Jeśli tej czynności podejmowały się płuca, wówczas pokrywały je wrzodziki, sączące materyę flegmę; jeśli płyny szkodliwe dostawały się do jelit, następowało zapalenie kiszek itp. W każdym razie, z chwilą wydalenia płynów, wyrzucenia humorów na zewnątrz, rany goiły się i organizm mógł odzyskać zdrowie. Należało więc przedewszystkiem, jeśli proces wydalenia nie mógł być uskuteczniony drogą naturalną, dopomódz organizmowi w jego wysiłkach pozbycia się ciał obcych. W tym celu dawniejsi lekarze uciekali się do przyżegania, sztucznego jątrzenia rany, puszczania krwi, z którą zło, uwięzione wewnątrz organizmu, usunięte zeń być miało; wszelkie cierpienia bowiem wynikały z nagromadzenia w ciele ostrych, drażniących płynów, które szukały sobie ujścia.

Więc bóle reumatyczne, dajmy na to w kolanie, leczono kauteryzacyą, tj. przeciągano pod skórą lancet i w ranę, w ten sposób wytworzoną, zakładano szarpie, które zmieniano co dwa, trzy dni. Najczęściej jednak używanym środkiem jątrzącym była wizykatorya. Po zniszczeniu naskórka przez nią przykładano na obnażone tkanki dwie połówki grochu, co naturalnie wywoływało ropienie i nie pozwalało zagoić się ranie, a tem samem dawało ciągły odpływ złym płynom, krążącym w ciele.

Nam, wierzącym dziś w mikroby chorobotwórcze i drżącym na samą myśl przedostania się któregokolwiek z nich do wnętrza naszego organizmu, taka terapia wydaje się zarówno dziecinną, jak okrutną. A jednak przed półwiekiem lekarze i chorzy niezachwianie byli przeświadczeni o jej skuteczności. Czy wiara ich była złudzeniem? Dziś, po latach pięćdziesięciu, zdajemy się chcieć to wypróbować.

Bardzo wykształcony lekarz, dr. Brocq, wydrukował niedawno w piśmie francuskiem *La Presse Médicale* artykuł o „Kauteryzacyi artretyków," w którym opisuje fakt następujący:

„Człowiek blizko sześćdziesięcioletni, bardzo otyły, chorujący oddawna na artretyzm, kamienie w wątrobie i nerkach, zdawał się już stać u granic życia. Organizm jego stracił wszelką odporność, ostre cierpienia najróżnorodniejszego rodzaju zmieniały się jedno po drugiem, wyczerpując siły. Najstaranniejsze leczenie nie przynosiło żadnych rezultatów. Śmierć zdawała się nieuniknioną i bardzo blizką. Było już tak źle, że okazała się potrzeba wstrzyknięcia eteru pod skórę. Nieszczęściem — a raczej szczęściem dla chorego — zrobiono to źle, wskutek czego nastąpiło zakażenie skóry; po jej usunięciu utworzyła się rana, która zaczęła ropieć.

W rezultacie, po upływie dziesięciu dni — pisze dr. Brocq — stan chorego zaczął się poprawiać: wróciła wesołość, energia, siły, wreszcie pacyent mógł wstać po roku przykucia do łóżka. Po jakimś czasie rana, wytworzona przez usunięcie skóry,

zagoiła się, ropienie ustało — i jednocześnie chory popadł w stan poprzedni: dawne przypadłości zaczęły powracać. Tym razem dr. Brocq nie wahał się, choć bardzo niechętnie, skauteryzować ramienia lewego w celu wywołania ropienia. Chory natychmiast ozdrowiał. A gdy potem raz jeszcze pozwolono przypadkiem zagoić się ranie, zło poprzednie ponownie wybuchało z całą siłą. Usunięto je tą samą drogą i odtąd już pacyent najtroskliwiej pielęgnował swą aperturę.

W innym znowu wypadku człowiek już niemłody, który szeroko używał i nadużywał życia a oddawna chorował na wapnienie żył, reumatyzm i podagrę, popadł w stan blizki śmierci. Umysł jego uległ przyćmieniu, trawienie — zanikowi, ogarnęła go apatya, senność, które zaniepokoiły otoczenie.

W tych warunkach przypadkowo zrobiła mu się rana na udzie, która zaczęła ropieć i pomimo usilnych starań zagoić się nie chciała. Ale jednocześnie chory zaczął przychodzić do siebie: poprawiło się trawienie, znikła senność, umysł odzyskał żywość. Po pewnym czasie na życzenie pacyenta doktorowi Brocq udało się zabliźnić ranę. Z chwilą jednak, kiedy ustało ropienie, już nazajutrz chory czuł się gorzej, a w dalszym ciągu tak źle, że dr. Brocq uznał za niezbędne przywrócić zbawcze ropienie i zrobił mu aperturę. Skutek był natychmiastowy, pacyent odzyskał zupełnie zdrowie.

Co się tyczy puszczenia krwi o tem nie mniej ciekawych dowiadujemy się rzeczy.

Dawniejsi lekarze uważali krew za główne siedlisko „humorów" śmierciodajnych; puszczano ją więc każdemu, kto się czuł niezdrów: i starcom, i dzieciom, nawet położnicom; puszczano w tyfusie, w niestrawności, w odrze, w migrenie; dla uzdrowienia i dla zapobieżenia chorobie.

Niektórzy lekarze utrzymywali, że krwi jest tyle w ciele, co wody w dobrej studni; nie widzieli więc potrzeby oszczędzania. Nie wahano się wytoczyć jej od pięciu do dziesięciu kwart w ciągu jednego zapalenia płuc. Jeszcze w 1850 r. młodej dziewczynie, cierpiącej na wapory i częste wymioty, które ustępowały po puszczeniu krwi, puszczono ją 1020 razy, 80 razy z nogi, a 940 z ramienia.

Dopiero medycyna nowoczesna wykreśliła puszczanie krwi ze swych środków leczniczych. Wielu z lekarzy dzisiejszych nie umiałby nawet poprawnie użyć w tym celu lancetu, którego zresztę nie posiadają nawet wśród swych instrumentów.

I oto, od pewnego czasu opinia zaczęła się zmieniać na korzyść tych pogardzonych sposobów staroświeckiej medycyny.

Dwa lata temu na wydziale medycznym w Paryżu prof. Hutinel wyraził twierdzenie o zbawienności puszczania krwi w chorobach rozdęcia serca; to samo w zapaleniu płuc, kiedy przepełnione przeszkadzają dobremu jej krążeniu i zatrzymują ją w sercu, grożąc pęknięciem. Nawet w dyfterycie radzą użycie tego środka. Z upuszczeniem krwi zmniejsza się ilość trucizn krążących w niej, organizm doznaje ulgi i może skuteczniej walczyć z chorobą i śmiercią.

Od tego zapatrywania daleko jeszcze naturalnie do manii krwiożerczej naszych dziadów.

## FEJLETON.

# PAMIĘTNIK

### Ściągnięte cugle.

Szlachetnym rysem naszych czasów jest coraz częstsze przemianowywanie ludzi „upadłych" na nieszczęśliwych. Dziś już tylko brutalny moralnie barbarzyńca mija ich w przekonaniu, że spenił całkowicie swój obowiązek, gdy się od nich odwrócił z pogardą. Społeczeństwo nawet w ich występkach odnajduje swoje winy, a w najlepszych swych dążeniach bardziej stara się o to, ażeby siebie poprawić, niż żeby grzeszących ukarać. Wśród tych dążeń zmienił się zasadniczo jego stosunek do t. zw. „kobiet upadłych." Jeszcze są tacy, którzy na nie plują, ale już są tacy, którzy nad niemi płaczą. Jeszcze są tacy, którzy je strącają w przepaść niedoli, ale już są tacy, którzy je z niej ratują. I ta sama ladacznica, która dotychczas zniepráwiała i zniepráwia mężczyznę w jego zmysłach, zaczyna go uszlachetniać budzeniem miłosierdzia w jego uczuciach. Jest to jak gdyby jej wspaniałomyślna na nim zemsta za doznaną od niego krzywdę.

Świeże rozporządzenie warszawskiego oberpolicmajstra, ograniczające samowolę stójkowych i stróżów w aresztowaniu prostytutek stanowi również objaw tego humanizmu, który przeniknął nawet do sfer kierujących się względem nich surowością. W Warszawie urządzono dla nich *ghetto*: na pewnych ulicach nie wolno im pokazywać się — w teoryi, w praktyce bowiem — jak stwierdza oświetlający tę nędzę *Warsz. Dziennik* — opłacające się policyantom, nabywały „prawa spaceru" wszędzie. Ścigane, prześladowane, bite, zaopatrzyły się one w równie strasznych, jak dręczyciele obrońców, mianowicie w sutenerów, którzy za pieniądze, wydarte im z haniebnego zarobku, ofiarują im pomoc. Rozkiełznanie dozoru policyjnego — słusznie przypomina *Dziennik* — dochodziło nieraz do takich nadużyć, że aresztowano kobiety przyzwoite, a jedną z nich nawet poddano rewizyi lekarskiej. Otóż p. oberpolicmajster chce ściągnąć cugle i zapobiedz na przyszłość podobnym znęcaniom się i wykroczeniom. Już czas. Kto bodaj raz widział i słyszał wieczorami nocne pościgi za prostytutkami, ich krzyki, błagania, płacze, ten odczuł taką odrazę i niewiarę do owej nieograniczonej samowoli dozoru policyjnego nad nimi, że powita nowe rozporządzenie z nadzieją nieoglądania scen tak gorszących. Naturalnie, o całkowitem usunięciu złego nie może być mowy. Dopóki istnieje uorganizowany nierząd i dopóki on pozostaje pod władzą osobnych praw, w tem miejscu społeczeństwo musi mieć ciągle otwartą i gnijącą ranę. Niechże jej przynajmniej drapieżne pazury nie rozdzierają. *d.*

### Wyjątkowa przyczyna.

Szczerze mówiąc, nadawanie naszemu życiu lub odnajdywanie w niem praw wyjątkowych nie powinno nas wcale dziwić. Jest to ogromnie stara historya. Zbogacił ją *Warsz. Dziennik* dowodzeniem, że obecne przesilenie przemysłowo-handlowe w naszem mieście nie jest wynikiem wojny, stanowiącej ostatnią kroplę przepełnionej czary, lecz skutkiem „nadprodukcyi Warszawy." Jej przemysł jest wytworem sztucznym. Zgromadziła ona w swych zacieśnionych pasem fortecznym granicach za wiele fabryk, głównie wyrabiających galanteryę dla Cesarstwa, i ściągnęła za wiele robotników, którzy teraz po zmniejszeniu się zbytu stracili zajęcie i pomnożyli proletaryat. Trzeba więc — zapobiedz dalszemu koncentrowaniu się zakładów przemysłowych w Warszawie.

*Dziennik* wogóle nie należy do pism z osłabioną wiarą w zbawienne następstwa reglamentacyi, więc może najzupełniej szczerze ufać skuteczności swego pomysłu. Ale to go nie uwalnia od objaśnienia: dlaczego wszystkie miasta w całem państwie rosyjskiem uległy przesileniu ekonomicznemu dzięki wspólnej przyczynie—wojnie, a tylko jedna Warszawa wyjątkowo swej „nadprodukcyi"? *h.*

### Rozkopana Warszawa.

Corocznie w lecie dzienniki grzmią skargę warszawian na zrujnowanie i zamknięcie przebrukowywanych ulic — daremnie. Jest w tej dziedzinie jakaś samowola, uparta i głucha na najsłuszniejsze zażalenia. W całej Europie nie znaleźlibyśmy drugiego miasta, gdzieby przez całe tygodnie i miesiące ulice były rozkopane i niedostępne dla komunikacyi kołowej, gdzieby mieszkańcy w pewnych wypadkach — np. podczas przeprowadzki — nie mogli przejechać lub przewieźć rzeczy do swych domów. A przecież wszędzie odbywa się przeróbka lub naprawa bruków i zakładanie rur podziemnych. Tylko więc u nas, nawykłych do lekceważenia cudzych praw obywatelskich i cierpliwego znoszenia ich brutalnej obrazy, wykonywane są te zwyczajne i nieuciążliwe dla mieszkańców roboty z takiem dla nich udręczeniem. Głównymi winowajcami mają być przedsiębiorcy. Ale przecie oni nie są niezależni i bardzo prostym naciskiem z odpowiedniego miejsca daliby się łatwo przyprowadzić do porządku. Niech tylko ktoś o to się postara. *a.*

### Chybiony środek.

Jeżeli przyjmiemy za fakt niezaprzeczony, że kobieta w dzisiejszych warunkach ekonomicznych musi zarobkować i że mężczyzna usiłuje każdą młodą pracownicę zdemoralizować, gdziekolwiek ją spotka, to nakazane usunięcie obsługi żeńskiej z zakładów publicznych przedstawi nam się jako środek, nieosiągający tego celu, dla którego prawdopodobnie został wydany. Przypuszczamy, że szło o moralność, obrażaną bezwzględnie w stosunkach mężczyzn z kelnerkami. Przedewszystkiem to bardzo smutna, ale niewątpliwa prawda, że w szeregu potrzeb ludzkich pierwszy numer stanowi głód, a dopiero jeden z następnych moralność. Kobiety, utraciwszy zarobki w restauracyach, kawiarniach i mleczarniach, muszą jednak jeść i odziewać się, a przecież nie będą jadły i odziewały się regułami etycznemi. Cóż więc zrobią? Wiadomo. A czy na tej ich ucieczce od nędzy zyska moralność? Chyba nikt nie ma wątpliwości. Ta tylko będzie różnica, że w restauracyach rozpustny samiec szukał naiwnej samicy i znajdował w niej pewien opór, teraz, pozbawiona zajęcia, ona go sama szukać będzie, a w każdym razie zrzeknie się oporu. Ilość upadłych z pewnością nie zmniejszy się wcale, ale za to ilość głodnych wzrośnie ogromnie. *g.*

### Poza.

*Goniec poranny* prawdopodobnie z racyi kanikuły wystąpił w rynsztunku bojowym przeciw jakimś wielkim. Co to za wielcy z słów jego nie można pojąć; widocznie nie należą do grona prenumeratorów pisma, gdyż bardzo nieprzychylnie wyraża się o nich. Wśród pocisków, którymi obrzuca wiatraki ten najmłodszy synek warszawskiej reporteryi, znajduje się parę argumentów, godnych podkreślenia. Czytamy

np.: „Ktoby cześć dla prawdy lub zachwyt dla piękna wynieść na rynek chciał lub na gościniec i zabiedz drogę tłumom i nawoływać je by jako on wierzyły...“ itd. albo znów o śmiałkach: „co odważyli się zdradzić tajemnice bogów przed zwyczajnym plebsem i pracować, i myśleć dla niego.“ Trudnoby się domyśleć o kogo tu idzie, jeżeliby łaskawy autor nie pozwolił przypuścić, że ma na myśli... *Gońca.* Czysta komedya. *Goniec*, kiwający się we wszystkie strony, z jednakową energią dziś zwalczający coś, a jutro to samo pod niebiosa wynoszący, uważa się za pracownika idei, za szerzyciela czci dla prawdy! „W służbę poszedł motłochu,“ to nie znaczy łaskawy panie, że ktoś pracuje dla szerokiej masy, dąży do jej podniesienia, do usunięcia przeszkód z drogi jej rozwoju, lecz znaczy, że pisze to, czego przeciętna ignorancya żąda, co jest popłatnem i poszukiwanem; to znaczy, że nie usiłuje zmienić istniejącej apatyi i mgły umysłów, a podsyca ją karmiąc czytelników pustymi frazesami, po za którymi niema żadnej dalej sięgającej myśli, i dlatego tak mu obrzydli ci co, „wiecznie machają chorągiewką idei.“ On zna tylko przeciętność i przeciętność tę stawia, jako wzór. On nie toruje drogi, a wlecze się za innymi; on nie zdradza tajemnicy bogów, a podsłuchuje sensacyjne kawałki i niesie je „na rynek.“

### Wynajem żebraków.

*Kuryer Warszawski* opowiada o nowem, zyskownem przedsiebiorstwie. Pewien pan wynajmuje gromadkę kalek, dzieci i rozstawia po przystankach kolejki wilanowskiej. Później odbiera im zebraną jałmużnę, zapewniając skromny wikt „aby nie utyli.“ Właściwie mówiąc, nie powinno to dziwić. Wszak domy publiczne cieszą się liczną klientelą, a przecie zagrabianie zarobków i tam kwitnie. Zarobków — tak, boć i tam się zarabia ciałem, jak tu. Tam zdrowe ciało, tu chore — mała różnica. Taki przedsiebiorca, byle tylko zrobił duży majątek, zostanie powszechnie czczonym i szanowanym. Nikogo to nie zdziwi. Tam, gdzie wszystko oparte jest na najwyższym dochodzie, gdzie każdy ma nietylko prawo, lecz i uznany przez „opinię“ obowiązek jak najenergiczniejszego używania łokci przy wybijaniu się na wierzch, wszelkie środki są godziwe. Z czasem i w tym przemyśle zostaną wprowadzone ulepszenia; powstaną akademie dziadowskie, jeżeli już nie istnieją, zakłady kształtujące wszelkiego rodzaju kalectwa. Przecie żyjemy w epoce równości wszystkich przed prawem. Byle kodeksu nie zahaczyć: wszystko po za tem jest dozwolone. Walka o byt itd.

*k.*

### Drogie szkoły

Udatnie charakteryzuje *Goniec* atmosferę ciągle powstających szkół prywatnych. Wysoka opłata przyczynia się do tego, że w takim zakładzie gromadzi się młodzież rodziców zamożnych. Pogarda dla mających mniej, przykład „dorosłości“ ze strony najbliższych, wszystko to wytwarza zgubną atmosferę, rozszerzającą się i na dalsze szeregi uczącej się młodzieży. Wiadomo jak w okresie dorastania wrażliwym jest umysł ludzki. Tu chwyta on w przeważnej mierze miazmaty, zatruwające młody organizm i zamiast pokrzepienia, zostaje spaczonym, często nazawsze. Nie jest to winą właścicieli i przełożonych szkół. Dowodzi tylko, że szkoła, jako przedsiebiorstwo nie może odpowiedzieć szerokim zadaniom pedagogicznym. Po za tem świadczy jaskrawo o rozkładzie, jaki panuje wśród szarej, zamożnej burżuazyi i o strasznem wyjałowieniu mózgów tych, co dziś mają pretensye do nazwy inteligencyi.

*z.*

## BADANIA NAUKOWE.

# Louis Courajod.

*Leçons professées à l'école du Louvre* (1887—1896).

Trzy grube tomy wypełniają nauki prof. Courajod spisane częściowo wedle wykładów ustnych, częściowo wydane z jego notat i papierów przez wdzięcznych uczniów i współpracowników.

Nie można się dziwić żadną miarą tej wysokiej czci uczniowskiej, jeśli się przejdzie myślą treść tych ksiąg, stworzonych przez umysł nawskroś niezależny, a najgłębszą miłością do swoistej kultury przejęty.

Jako historyk sztuki należy Courajod do umysłów najswobodniejszych, którego wolność polega jednak na tak daleko idącem opanowaniu wszystkich dla dziejów sztuki decydujących doktryn, na takiem przezwyciężeniu konwencyonalnych teoryi estetycznych, że go śmiem postawić wyżej, niż każdego niemieckiego „Kunsthistorikera“ wyżej nawet, jako filozofa sztuki, niż Ruskina. Courajod to nie eklektyk, ani smakosz artystyczny, ale głęboki znawca i badacz dróg, któremi szła twórczość artystyczna narodów. Sztuka to tylko jedna ze stron tego potężnego zjawiska, jakiem jest wyładowanie się energii życiowej każdego narodu. „Sztuka ludu, jego pojęcia o pięknie formują się tak, jak rozwija się prawo lub dobro, nie jako wynik rozumowania, ale jako długie *następstwo bogatego wezbrania sił czynnych.*“

To wezbranie sił czynnych, dalekiem jest jednak od upodobań i smaczków arystokracyi. Tylko żywotny, masowy zapał ludu wytwarza sztukę żywotną. Dlatego ulubionem przeciwstawieniem dla Courajod'a jest sztuka grecka i sztuka wieków średnich, jako twórczość mas o pewnem, wysokiem napięciu kulturalnem, w porównaniu z nikłą, bez krwi, przesyconą formalizmem, obcą dla mas narodowych sztuką rzymską i jej odbiciem późniejszem: sztuką włoską 17 wieku oraz temi pokurczami włoszczyzny, któremi świat oficyalny, arystokratyczny i mieszczański jest przesycony po dziś dzień.

Pogląd ten pozwala wielkiemu, uczonemu dojść do niesłychanych, wręcz zupełnie zapoznanych rezultatów w stosunku do sztuki romańskiej, gotyckiej a częściowo i okresu wczesnego renesansu. Po raz pierwszy nie półgębkiem, nie pod przymusem pewnych, jaskrawo bijących faktów przyznaje się artystycznie formującą siłę u narodów północy, siłę mejscową, odwieczną i żywiołową, pod której naciskiem tworzy się częściowo styl „romańskim fałszywie nazwany,“ a w całości sztuka francuska, narodowa, czyli styl gotycki. To wyciągnięcie na jaw, należyte, ściśle naukowe określenie współczynnika miejscowego, owej sztuki pogańskiej, keltycko-gallickiej, irlandzkiej i normandzkiej, w dziejach tworzenia się stylów historycznych — to wyłączna zasługa Courajod'a.

Wyjaśnienie zagadkowej roli drewnianego budownictwa narodowego, francuskiego w utworzeniu się gotyku, wykazanie wpływu zdobnictwa „barbarzyńskiego“ wogóle na sztukę średniowieczną — to zdobycz dla nauki i dla samowiedzy narodowej wartości pierwszorzędnej.

Nowym również jest pogląd na niesłychanie doniosłą rolę Wschodu bizantyńskiego i syryjskiego, na kształtowanie się kultury zachodniej wtedy, kiedy Rzym już był tylko martwym symbolem bezcielesnym, kiedy (wiek VI, VII i VIII po Chr.) nic rzymskiego już właściwie w nim nie było.

Wślad za tem rozumowaniem idzie ważne, dla Francuzów wprawdzie najbardziej, lecz niemniej znaczące i dla innych narodów uznanie korupcyi nieustannej ducha narodowego przez sztukę włoską. Cały wiek XVII to zupełne zwłoszczenie budownictwa, wyzbycie się wszystkich cech narodowych.

Przychodzi sztuka uniformowana przez jezuityzm i arystokracyę, przychodzą kościoły jezuickie, budowane wedle wzoru Chiesa del Gesu w Rzymie, we wszystkich klimatach i u wszystkich narodów prawie bez zmian ważniejszych. Przychodzi takie zwyrodnienie na punkcie włoszczyzny, że bóg jednolitej teoryi estetycznej XVIII wieku, Winkelmana, w podróży do Niemiec chce wracać z Tyrolu, bo nie może znieść widoku wysokich dachów zamków tyrolskich, obrażających jego delikatny gust włoski. Klasyczność to znaczy to, co odnosi się do starożytnego świata łacińskiego, staje się nieodwołalnym sprawdzianem piękna, wobec którego całe wieki średnie, to ciemnota i barbarzyństwo.

Ten klasycyzm jednak zawsze był własnością estetyczną garści arystokratów i plutokracyi, lecz w głąb ludu nie sięgał nawet we Francyi, nawet w starożytnym Rzymie. Proletaryat rolny, chłopi *poganie*, niemo podlegający kierownictwu klas panujących, nie zostali dotknięci tak głęboko zepsuciem rzymskiem, oni zachowali nienaruszony zapas instynktów narodowych.

Odkąd Jezus przemówił, niewolnicy poczęli oddychać innem powietrzem, niezepsutem przez dekadencyę łacińską, żyli innym chlebem od tego, który im rozdawało cesarstwo rzymskie i mówili w rzeczach sztuki innym językiem niż ten, który się mieścił w gramatyce piękna rzymskiego Witruwiusza!! (I. 531).

Ten inny język artystyczny prostego ludu przejawił się w kościołach norweskich, jako sztuka normandzko-angielska, w księgach iluminowanych kodeksów irlandzkich, od VI po X stuleciu wszedł do romańszczyzny, objawił się w nieskończenie żywiołowej potędze ducha gallickiego w gotyku i dał się poznać w skurczonej, ale jeszcze aż nadto wyraźnej postaci w stylach odrodzenia każdego narodu europejskiego, nim go czasy baroku i stylu rocaille nie zdusiły zupełnie.

Taki jest najpobieżniejszy szkielet myślenia prof. Courajod'a. Mieści się w niem zwycięzkie powstanie północnego pierwiastku ludowego do walki z panującym schematem klasyczno - łacińsko - włoskim, mieści się dalej żądza zwrócenia sztuki do łożyska krajowego, odebranie jej owej twarzy bez wyrazu, a raczej o kosmopolitycznym, ujednostajnionym przez estetykę miarodajną wyrazie i nadanie jej znamienia, płynącego z najgłębszych instynktów ludu. Te wykłady prof. Courajod'a dziwnie zbiegają się z tem wszystkiem, co się u nas o sztuce ludowej pisze i robi. Nawet błędy, wypowiadane przez p. Czesława Jankowskiego w sprawie sztuki ludowej, zadziwiająco są podobne do doktryn akademików francuskich z połowy pierwszej 19 stulecia, oburzających się na barbarzyństwo stylu gotyckiego.

Trzeba rzeczywiście trochy w tem polskiego szczęścia w polskiej biedzie, aby instynkt samozachowawczy narodu obudził się w czasie, kiedy lud nie wyzbył się jeszcze zupełnie odwiecznie polskiego budowania, odwiecznych sposobów zdobienia, kiedy zbliżenie się artystów klas wyższych do zasobów sztuki ludowej stworzyć może sztukę rodzimą, polską, o odrębnym języku form, o jakim dla Francuzów marzył Courajod.

I będzie to nie kopia dawnego życia chłopskiego w sztuce, ale nowy twór mający się tak do języka ludu, jak „Dziady" Mickiewicza do... rzeczywistego obrzędu ludowego.

To wszystko mówi językiem Francuzów Courajod do Francuzów tak wyraźnie, że po prostu na usta ciśnie się porównanie jego osoby z tem, co pisał u nas i co robił zwłaszcza... Witkiewicz.

Są widać rzeczy, które leżą w powietrzu dzisiejszej cywilizacyi, jeśli Francuz Courajod i Polak Witkiewicz w tym samym czasie (to jest od r. 1886) walczyli o jedno i to samo, każdy w swem społeczeństwie i ze... swem społeczeństwem. I dlatego streszczenie najpobieżniejsze wykładów w Luwrze wielkiego profesora francuskiego niech będzie dowodem dla naszych niedowiarków, że sprawa odrodzenia sztuki polskiej z ludu nie jest tylko pacanowsko-polskim kątem widzenia, lecz odłamem zjawiska ogólno europejskiego, którego wyrazem jest zerwanie z kosmopolityzmem w twórczości artystycznej.

*Kazimierz Mokłowski.*

## LITERATURA I SZTUKA.

# Alfred Mombert.

Zdala od długiego dnia, pełnego gwaru i tłoku, ciągłego wrzenia, różnych zdarzeń, nadeszła noc; ciemna, czarna noc. Pokryła swym welonem drobne życie; pod dotknięciem jego zniknęła wszelka codzienność. Ziemia cała przyjęła poważny, surowy wygląd; wszystko, co słabe i małe, umilkło. I słychać miarowy, głęboki oddech ziemi, po za zwykłym biegiem wypadków, zdarzeń, słychać groźne pulsowanie światów. Nad bezbrzeżnym oceanem, pełnym to ryku fal, to ciszy, wystaje wysoki cypel skalisty; na nim z oczyma wpatrzonemi w dal przebywa on — człowiek-twórca i woła: „Czuwam, ja, twórca, czuwam i gram na harfie wszechrzeczy; słyszę głos mój własny, idący ku mnie z za oceanu mórz, ryk zwierza dzikiego, dźwięk stutysięcznej orkiestry, pieśń gwiazd, szum drzew i twórcze słowo narodzin...

Na wyżynach tych przebywa duch wielkiego poety, proroka potęgi jednostki, czerpanej z niezgłębionej przepaści ludzkiego ja, ludzkiej duszy, tęskniącej do nowych światów, łaknącej przejawu twórczej siły — duch Alfreda Momberta.

Niezwykła to postać w literaturze niemieckiej. Niemcy mało go znają. Inni wrzaskliwi, bardziej czuli na zdanie ogółu, są u nich czczeni. Bierbaum, Wolzogen, Liliencron i inni tra-la-la-liści uważani są za twórców nowych dróg, przewódców nowej poezyi. Mombert stał zdala od tego pseudo-ruchu. Odzywa się rzadko, wydaje mało, wszystkiego 4 tomy, podczas, gdy inni wypełniają tygodniki, drukują poematy, powieści, dramaty, powodzą Ueberbrettle itd. Lecz to, że jest on mało znanym nic nie mówi. Jeżeli ma coś mówić, to chyba, że jest on zbyt wielkim, zbyt wyniosłym, zbyt głęboko pojmującym życie, aby go współcześni odrazu odczuli. On stąpa w przyszłość, wsłuchany w melodyę światów; oni drepcą wolnym krokiem, posłuszni wyrokom zaprzysiężonych miernot z różnych pism popularnych...

Duch jego przebywa samotny, a twórczość jest głosem tego ducha; niema w niej żadnej przymieszki pisania dla pisania, niema żadnej robionej literatury, lub na zimno czy letnio fabrykowanych zachwytów, nastrojów; jest ona wyłącznie szczerym, potężnie głębokim głosem objawienia się mocy ducha, tworzącego z nieśmiertelności nieśmiertelność.

W pierwszych swych dziełach stał Mombert bliżej ziemi. Przy pierwszem uzewnętrznianiu się ducha zbyt potężnie i bezpośrednio różne jaskrawości świata zewnętrznego uderzały o młodą łódź, aby nie wywołać reakcyi, nie wzbudzić różnych myśli i zdarzeń. Pozostaje on pod wpływem ówczesnej liryki niemieckiej. W impresyach oddaje pewne nastroje, wywołane tym lub owym faktem z zewnątrz; to radość istnienia, to smutek poznania, to szał upojenia, to cynizm szyderczy.

Lecz prędko opuszcza on życie między ludźmi. Palony żarem „der Glühende," szuka, walczy, rwie się i zrywa wszelkie więzy, łączące go z „innymi"; dochodzi do poznania swej samotności, swej siły. W zbiorach „die Schöpfung" i „der Denker," stoi sam, samotny, po za światem: żaden najcichszy szelest, najgłośniejszy łoskot stamtąd niedochodzi. To chłodny, to płonący kładzie poeta dłonie na czołach gwiazd i czuje inne życie, głębie nieznane zwykłym przechodniom ziemi, nieśmiertelne, niepoznawane, lecz odczuwalne. „Ich reise meiner dunklen Seele nach" — woła on i opuszcza wszelkie gwary, zagłębiając się w samego siebie, przyczem we wszechświecie znaduje znak własnego ducha." „Es soll Niemand herein, ich will allein sein... Ich bin ja schon so lange abgereist." „Quidquid feci, venit exalto" pisze, jako dewizę na swoich utworach.

Istnienie jego, to Gott — und die Tranme.

Duch porzucił niziny, gdzie głośno i nizko, i wzniósł się na pustynię szczytów.

Wszelki duch twórczy przebywa na pustyni. Lecz pustynie te są wielce do siebie niepodobne. Mombert nietylko przebywa zdala od powolnego kroczenia z dnia wczorajszego w jutro, lecz samo to kroczenie jest mu zupełnie obcem; zrywa on wszelkie więzy i przestaje być w łączności z innymi. Własna psyche poety ogromnieje i zakrywa wszelkie inne. Pozostaje tylko on — i pewne, stojące po za nim tony jego duszy. Świat dla niego to ogrom ducha, jednego ducha — jego własnego ducha.

Kategorye dobra i zła przestają istnieć. Służą one, jako pewne punkty, dla oryentowania się przy wzajemnem tarciu się jednostek. Dla tych, którzy wyłącznie szybują po nad innymi, którzy w kosmos pogrążeni, widzą w nim oddźwięk własnego ja, pojęcia te przestają istnieć. „Alles, alles, was in dieser tiefen Flut tobt und thut, ist gut: den sie ist mein Geist und Blut."

Ujęcie przez niego tajemnicy wszechrzeczy blizkie jest panteizmowi. Panteizm jego — to powszechna łączność i ważność oddzielonych części, których ruch tworzy życie; ten ruch to ślepa moc, przejawiająca się w jednostce. Z chaosu sił uśpionych, nieuświadomionych wypływa, jako konieczność ruchu — wola-twórczość. Jednostka odrywa się od łona, które ją wydało i tworzy własny świat, zapala własne słońce, wobec którego inne bledną i gasną. Najwyższym momentem napięcia tej zindywidualizowanej potęgi wszechświata jest chwila, kiedy tworzy ono nowy punkt — nową wolę; kiedy rodzi się syn z ojca-woli i matki-namiętnej, poddającej sie twórczemu uściskowi jednostki-przyrody, nowa siła, która zapala nowe słońce. Starzec odchodzi — i tak dalej — w nieskończoność.

Świat, jako produkt ręki twórcy, jest niepodzielnym jego skarbem. W zalążku energii biernej, czekającej twórczego impulsu, istnieje on jako bezład, nie ma początku, przebywa w chaosie. Są to ogromy odwieczne, lecz świadomość o ich istnieniu dopiero powstaje w chwili twórczej. Z praenergii naskutek indywidualizującej pracy jednostki twórczej wyłania się odrębna forma i treść, wydzielone w całokształt światów. Jednostka stanowi centrum tego przez nią wydanego świata. „Ich bin die Musik der Welt." Wszelkie włókna rozchodzą się od niej. Ona promieniuje wszelkie istnienie!

„Stojąc na brzegu chaosu, pisałem dzieje mego życia. Wielka fala wpadła na mnie i wyrwała z rąk kartę. I dusza moja stała się wszystko obejmującą przepaścią, która pochłonęła chaos, aby porodzić nowe gwiazdy. „Mein Leben war nur schaffen" — to jest wyznanie wiary tego niezwykłego umysłu...

Duch człowieczy błądzi przez skały, doliny, rzeki, urwiska; kąpie się w słońcu, słucha szumu fal, szuka i czeka, i czuwa. Nadchodzi chwila, i wtedy stają jako dwie moce naprzeciw siebie, chaos i twórczy geniusz i następuje „Uebergang vom Er zum Ich." Powietrze chłodnie. Na niebie pełno przeciągających chmur. Wulkan dymi się w szarym zawoju. Następuje przełom. Obok twórcy spoczywa młoda niewiasta, która śpiewa „fremde Göttersagen" — i rozpoczyna się boski dzień tworzenia. Wtedy on — człowiek wznosi się do wysokości boga, odrywa się od tego, co było i sam tworzy, z chaosu swego ducha wyłania światy: płoną słońca i płoną gwiazdy, a ziemia żyje nowym blaskiem.

Kobieta jest uzupełnieniem jego istoty. Spokojna i cicha, pełna płomiennej żądzy, łaknie, pożąda i przybywa do tego, który jest siłą twórczą, ona, z której ma powstać przyszłość. Kobieta jest dla Momberta ogromnie zawiłym i głębokim symbolem; nie jest ona siłą bierną, czekającą na impuls, a raczej chaosem sił uśpionych, z którego potęga pojedynczej jednostki wyłania nowy porządek rzeczy. Łączą się oni w jednym ogniu skał, czerwonych od promieni żaru słonecznego i wydają — syna; ten przejmie potęgę ich twórczą i po odejściu ojca, który staje się starcem z chwilą narodzin syna, sam zostanie twórcą nowych światów.

Całość tego, co było, co jest i co będzie, łączy jedna spajająca nić. Jest to świadoma w każdym swoim przejawie, w pojedynczej jednostce siła twórcza, wciąż rozwierająca nowe światy...

Twórca ma swe chwile burzy i chwile spokoju. W chwili ciszy, kiedy poczucie własnej siły go rozmarza i pogrąża w sen bogów, wtedy słyszy on głosy wewnętrzne; słyszy nieznaną pieśń; niewidzialne skrzypce zmuszają go do milczenia i czuje on, że istnieje coś po za nim, co jest w nim, a nie jest nim. I w takiej chwili woła on: „Ich hab mich nicht genug geliebt, ich hab' das Ewige getrübt."

Ten to cichy lub głośny dźwięk, to puls ruchu, puls słońca, puls twórczości.

Całą duszę Momberta wypełnia uwielbienie siły twórczej, stawiającej jednostkę po nad światem, wyrywającej ją z łańcucha przyczyn i skutków i podnoszącej do wysokości pra-przyczyny, kształtującej z chaosu istnienie. Obdarzony potęgą myśli, siłą wzroku, po krótkiem wahaniu i krótkiej niepewności opuścił poeta życie między innymi i przejął się kultem dla własnej potęgi. Jest on największym głosem rosnącej świadomości siły jednostki, głębin jej ducha, horyzontów jej myśli, jej polotów.

Jakim jest duch poety, taką i twórczość — uzewnętrznienie jego ducha.

Jak już wspomniałem, jest ona niezwykle szczerą, skondensowaną, nie ma w sobie żadnej gadaniny, krótka, urywkowa, jest objawieniem woli jednostki, czującej twórczość i pragnącej mówić słowa twórcze. Wszystkie jego wiersze mają w sobie ów podniosły charakter objawienia. Skupienie myśli, głębokość i bezpośredniość mowy, moc oddania najdalej szybujących po-

rywów, najbardziej abstrakcyjnych, dalekich od widzianej i słyszanej przez nas teraźniejszości pomysłów — stanowią wybitne cechy tej niezwykłej organizacyi artystycznej. Bezwzględna samodzielność, potężne swem napięciem indywidualnem ujęcie wszechświata czynią zeń wielkiego poetę, głoszącego nowe słowo.

Naukę swą mówi on, oparłszy czoło o sklepienie nieba; gwiazdy wkoło krążą, planety biegną; oceany huczą; a on słucha śpiewu sfer i gra melodyę światów.

Dla oddania tej niezwykłej treści niezbędnym jest mu i nowy oręż. Ujmuje on swoje objawienie w formę silnych wizyj. Paru liniami rzuca szkic-krajobraz, staje przed nami w całym ogromie swej pierwotnej wielkości. Krajobraz dla niego jest pewnym dźwiękiem, pewnem połączeniem tego, co się w duszy poety w danym momencie dzieje. Szybka przemiana, szybkie wysuwanie się nowej myśli z za poprzedzającej rodzi i szybką zmianę wizyj. Wizye te wywierają wrażenie ogromu; są one pomimo swego momentalnego istnienia, jakby wykute z granitu. Mają w sobie żar słońca, bez pierwiastku weselącego, radosnego; lecz wyłącznie ogromne, oślepiające i ogłuszające nagromadzenie energii świetlnej. Jest ona, jak żar, buchający z łona prapierwotnej matki, która porodziła wszystko, co istnieje. Kamienność towarzyszy mu wszędzie. Taż siła w dzień, co i w nocy.

Najlżejszy szmer olbrzymieje, przyjmuje formy tytaniczne; wszystko, co się pojawia w snach poety, ma niezwykłą wagę i znaczenie. Żadnych ozdób, upiększeń. Fantazya jego to płomienna lawa, płynąca z olbrzymiego wulkanu. Czerpie ona tylko z krajobrazu szczytów lub brzegów oceanu; niziny, doliny nie istnieją dla niej.

Mombert pisze płomiennemi głoskami na wysokiem niebie, rwąc duszę swą w kawały i tworząc z nich piękno. Głos bólu jest u niego przyćmiony, tęsknoty — też, wszystko jest słabym szmerem wobec poczucia potęgi. Potęga — to główna i wyłączna treść jego wizyj. Nie radosna, nie bolesna, nie wesoła, nie smutna; napięcie siły absorbuje całą duszę, przygłusza wszelkie inne dźwięki i panuje niepodzielnie nad duchem poety.

Pisze on szybkimi rysami, rzuca potężne szkice, nie wykończa, nie cieniuje. Technika jego twórcza ma wszelkie cechy wizyjności. Parę linij tworzy wyraz, dźwięk, który szybko przechodzi w inny i tak dalej, a całość powstaje z oddzielnych tonów, niełączonych z sobą, będących często w niezgodzie.

Język Momberta jest zmysłowy, ostry, urywany, jak świst lecącego piorunu. Mowa jego jest jak odległy głos rodzącego się grzmotu, jak szum groźnych, wzburzonych fal, lub mroźna, jak szczyt pokryty wieczystym śniegiem.

* *

Z potężnych wizyj olbrzymiej swej fantazyi uczynił Mombert niezwykły dar współczesnej kulturze. Ściśle z nią związany kultem dla potęgi jednostki, jest on jednym z nielicznych uczni proroka, wołającego: „Bądź silny!“, którzy pojęli głębię tego okrzyku. Siłę tę wszczepili oni w uwielbienie i cześć dla wewnętrznej jaźni ducha ludzkiego, wciąż nowe czyniącego podboje.

Jako twórca, czerpiący z skarbnicy własnego ducha, unosi się poeta nad światem, a nie ze światem. Pędzi nieświadomie, kędy go gna niewidzialna ręka. Bo twórczość to „die Insel der Denker. Hier wohnen nur Schicksallenker.“ Ostatniem słowem poety-człowieka jest okrzyk zdobywcy berła boga-twórcy: „Niema nic wyższego nad tworzenie!“

*Zbigniew Brodzki.*

---

## SPRAWY EKONOMICZNE

# Sprawa robotników rolnych

### W NIEMCZECH.

Olbrzymi rozwój przemysłu w Niemczech w ostatnich 30 latach wpłynął na ukształtowanie się stosunków w rolnictwie. Niemcy stają się państwem przemysłowem — wieś się wyludnia, właścicielom wielkich dóbr rolnych brak rąk do pracy.

W państwie niemieckiem liczono: dnia 5 czerwca 1882 r. parobków i służących rolnych 1,589,088; innych robotników rolnych, pracujących w gospodarstwie własnej rodziny: 1,934,615; robotników dziennych, z własnem lub wydzierżawionem gospodarstwem 866,493; bez gosp. rolnych 1,373,774; razem 5,763,970; stan ludności 45,222 113; 14 czerwca 1895 r. parobków i służących rolnych 1,718,885; innych rob. rolnych, pracujących w gospodarstwie własnej rodziny 1,898,867; robot. dziennych z własn. lub wydzier. gospod. roln. 382,872; bez gosp. roln. 1,445,300; razem 5,445,924; stan ludności 52,279 901.

Ogólna liczba robotników rolnych w Niemczech zmniejszyła się więc od r. 1882 do 1895 o 318,046. Robotników z własnem lub wydzierżawionem gospodarstwem było w r. 1895 o 483,621 mniej, niż w r. 1882. Natomiast było 129,797 parobków i służących i 71,526 robotników bezrolnych więcej, niż w r. 1882. Praca w rolnictwie z rozwojem maszyn rolniczych nabierała coraz więcej charakteru sezonowego, emigracya chłopska rosła — szczególniej z okręgów z przeważającą, wielką własnością rolną. Od r. 1886 do 1895 ubytek ludności w okręgu królewieckim doszedł do 140,000 osób, czyli prawie 12% całej masy. Położenie robotników rolnych w państwie pruskiem jest też marne. Jeden z przywódców konserwatystów wypowiedział d. 20 kwietnia 1898 r. w sejmie pruskim nadzwyczaj charakterystyczne pod tym względem zdanie. Pan ten wyznał, że właściciel dóbr nie może zatrudniać na roli więźniów dlatego, że warunki, stawiane przez regulamin więzienny, co do wyżywienia i czasu pracy, przewyższają te, jakim poddają się robotnicy sezonowi. Po za tem robotnik rolny podlega ustawom wyjątkowym. Prawo pruskie z d. 24 kwietnia 1854 orzeka, że robotnicy rolni, usiłujący zmusić pracodawcę lub władzę do jakichkolwiek ustępstw, podlegają rocznemu zamknięciu w więzieniu. Prawo koalicyi nie istnieje więc dla nich. Robotnika rolnego lub służącą, opuszczających pracę przed upływem czasu zakontraktowanego, wolno zmusić siłą do powrotu do pracy, przyczem grozi im kara pieniężna 15 marek, a w razie niezapłacenia 3 dni aresztu. Bicie służby jest do pewnego stopnia tolerowane, a przynajmniej władze w zwykłych wypadkach winnych do odpowiedzialności nie pociągają. Zdarzało się bardzo często, że służące, które po otrzymaniu chłosty uciekły z dworu, zmuszano wyrokiem sądowym do powrotu: sądy pruskie nie uznały chłosty za powód, uprawniający do opuszczania pracy przed czasem kontraktowym. Bywały i takie wypadki, że na dziedzica nakładano karę 6 marek za nieludzkie obicie rózgami obnażonej dziewczyny. Sądy pruskie umieją wydawać łagodne wyroki, szczególnie gdy oskarżony nie jest ani Polakiem, ani członkiem partyi robotniczej.

Po za tem robotnicy rolni nie podlegają ustawie o kasach chorych. Jeżeli chcą do takiej kasy przystąpić, to płacą 100% składek, gdy robotnik przemysłowy tylko 75%, lecz na zarząd kasy nie wywierają najmniejszego wpływu. Zabezpieczenie robotników rolnych od kalectwa jest nadzwyczaj nizkie, odpowiednie nizkim zarobkom. Ilość zaś nieszczęśliwych wypadków w rolnictwie wzrasta stale: w roku 1901 liczono 55,983 osób, w tem 16,186 kobiet, które z powodu wypadku przy pracy były dłużej, niż 13 tygodni, niezdolne do pracy. Robotnik rolny w Niemczech, zwykle nieoświecony i pozbawiony praw wszelkich, jest niezdolny do walki społecznej i cierpliwie znosi ucisk. Ale i jego cierpliwość się kończy: nie mogąc wytrzymać w warunkach, przypominających czasy pańszczyzny, ostatecznie zrywa się i wędruje w świat.

Z Prus Wschodnich i Zachodnich, z Poznańskiego i Górnego Śląska robotnicy wyjeżdżają tłumnie na Zachód, rozsypują się i po wioskach i po miastach, po kopalniach i hutach westfalskich. Rolnictwo, pozbawione rąk do pracy, sprowadza sezonowych robotników z Królestwa i z Galicyi, których położenie jest jeszcze gorsze, niż robotnika miejscowego. Zupełna nieznajomość stosunków, ustaw niemieckich, języka państwowego, ciągła groźba wydalenia policyjnego w razie najmniejszego nieporozumienia z dziedzicem — oto przyczyny dodatkowe jeszcze większej zależności, jeszcze większego zbliżenia do stosunków pańszczyźnianych. Prócz tego działają tu niesumienni agenci, którzy na wiosnę sprowadzają naprzykład z Galicyi więcej robotników, niż potrzeba. Setki te, wygłodzone i poniewierane, wyczekują na stacyi granicznej przybycia agenta, który umyślnie zwleka, a potem zupełnie wycieńczonym każe podpisywać wszystko, co im przedstawi — i podpisują, byle dostać chleba i wyjechać na wyznaczone miejsce. Przytoczymy z takiego „rewersu,“ drukowanego po niemiecku i po polsku, kilka ustępów w *dosłownem* brzmieniu. „Rewers“ jest zaopatrzony pieczątką znanej agentury „Landwirtschaftliche Centralstelle für Fabrik- Feld- u. Ziegeleiarbeiter. Paul Weber, Landsberg. O. Schl.“

§ 2. Praca dzienna według zwyczaju miejscowego (więc nieograniczona!). Czas przestanków oznacza pracodawca według stanu roboty.

W naglych wypadkach są robotnicy obowiązani na żądanie pracodawcy lub jego zastępcy wykonywać prace gospodarskie po za wymienionemi godzinami. Czy taki wypadek zachodzi, rozstrzyga jedynie pracodawca lub jego zastępca...

§ 3, IV. Płaca miesięczna: 1) mężczyźni umiejący kosić otrzymują 24 m.; 2) dorośli chłopcy, umiejący się obchodzić z końmi i wołami — 20—22½ m.; 3) mniejsi chłopcy — 15—18 m.; 4) kobiety i dziewczęta— 18—20—21 m.

§ 4. Prócz wyżej wymienionej zapłaty za roboty wyznacza się: każdemu robotnikowi tygodniowo, jako żywność względnie w naturze: mężczyźnie 10 funtów chleba, chłopcu i kobiecie po 8 funt., wszystkim zaś bez różnicy 3 funty owoców, jak: krup jęczmiennych, ryżu, fasoli i grochu, 1 (!) funt mięsa lub 50 fenigów za niego, 1 funt smalcu amerykańskiego, 25 funtów ziemniaków, pół funta soli, pół funta mąki do zasmażki i 7 litrów mleka zbieranego.

§ 5. Robotnicy otrzymują wspólne mieszkanie w domu dla robotników i oddzielne izby do spania (często tylko na papierze) dla obu płci, oprócz tego dla każdego robotnika jest legowisko (!) i wełniany koc do przykrycia...

Gdyby który z podpisanych robotników z własnej winy nie wytrzymał oznaczonego w § 1 (nieograniczonego!) czasu pracy lub swem zachowaniem się spowodował oddalenie, obowiązany jest zaraz po rozwiązaniu stosunku dane mu mieszkanie i sypialnię opróżnić, a w razie wzbraniania

się przysługuje pracodawcy prawo sądownie wydalić go natychmiast (a policya wie wtedy, co robić!).

§ 7. Pracodawca może rozwiązać umowę służbową, jeżeli robotnik:

*a*) nie słucha zarządzeń służbowych pracodawcy lub jego zastępcy nawet po dwukrotnem wezwaniu;

*b*) znieważa pracodawcę lub dozorujących w jego imieniu zastępców;

*c*) czynnie im się sprzeciwia;

*d*) jeżeli dopuści się kradzieży;

*e*) jeżeli robotnica niezamężna zajdzie w ciążę (winna natychmiast opuścić mieszkanie!);

*f*) jeżeli robotnik okaże się niezdolnym do załatwienia umówionych robót;

*g*) jeżeli dopuści się podburzań (?);

*h*) jeżeli dręczy zwierzęta, do służbodawcy należące.

Po przeczytaniu długiej tej listy łatwo zrozumieć, że dziedzic może każdego robotnika każdej chwili pozbawić pracy i wydalić z mieszkania, bo o pozór przy takich warunkach nietrudno. Natomiast cały ten kontrakt nie zawiera ani jednego ustępu, wyjaśniającego, w jakich warunkach robotnik — dajmy na to znieważony itd. — może opuścić pracę przed ukończeniem kontraktu. Prócz tego właściciel majątku zatrzymuje w pierwszych miesiącach zapłatę za 3 miesiące, jako kaucyę. Powyższy kontrakt jest podpisany przez p. Pawła Lüdera z Lindenthal — Jabłonowo pod Grudziądzem.

W innym kontrakcie znajdujemy następujące ciekawości:

„Pracodawcy przysługuje prawo zatrzymania wszelkich *papierów* i rzeczy robotnika, jeżeli ten nie zapłacił za szkody przez siebie popełnione."

Jest to bezprawie, wyraźnie kiwające na policyę pruską, która każdemu poddanemu zagranicznemu, nieposiadającemu papierów legitymacyjnych, może zrobić niemało przykrości.

Od kilku lat junkierstwo pruskie dąży systematycznie do pogorszenia stanowiska prawnego robotników rolnych:

Sferom agrarnym chodzi o wstrzymanie emigracyi robotniczej ze wsi i o zapobieżenie coraz częściej zdarzającym się ucieczkom robotników sezonowych. Niema rąk do pracy—oto rzecz dla rolnictwa w Niemczech najgroźniejsza. Czem gorsze warunki, czem większa zależność, czem więcej nadużyć, tem większa emigracya, tem częstsze ucieczki robotników sezonowych. Od kilku lat słyszymy więc w sejmie pruskim wołania konserwatystów, skierowane pod adresem rządu, o nowe prawo wyjątkowe przeciwko robotnikom rolnym, o przepisy prawne przeciwko łamaniu kontraktów przez robotników rolnych i służbę. W r. 1900 uchwalono takie prawo w jednem z małych państewek niemieckich. W nadzwyczaj energicznej interpelacyi lewica parlamentarna nazwała już wtedy to prawo bezprawiem, złamaniem ustaw ogólno-obowiązujących praw rzeszy niemieckiej. Prócz prawicy przyznały to wówczas wszystkie stronnictwa parlamentarne — tylko Koło polskie milczało, nie mając odwagi w drażliwej sprawie, obchodzącej z jednej strony i szlachtę polską, z drugiej — setki tysięcy polskich robotników rolnych zająć wyraźnego stanowiska. Po kilku próbach prawodawczych konserwatyści postawili w lutym r. b. następujący wniosek:

„Wzywa się rząd królewski, by wniósł jeszcze w bieżącej sesyi projekt prawa, które

1) będzie karać pracodawców, przyjmujących do pracy czeladź rolną lub robotników rolnych, o których wiedzą, że są jeszcze związani kontraktem z innym pracodawcą;

2) będzie karać osoby, które pośredniczą w dostarczaniu pracy takim robotnikom lub czeladzi;

3) będzie karać ludzi, którzy namawiają czeladź lub robotników rolnych do bezprawnego opuszczania służby lub do strajku."

Wniosek ten został w sejmie pruskim przyjęty — Koło polskie znowu milczało. Rząd pruski do wniosku się zastosował i wypracował odpowiedni projekt prawa. Nad tą sprawą obradowano d. 8 czerwca r. b. w sejmie pruskim. Posłowie wolnomyślni dowiedli, że projekt sprzeciwia się prawom państwowym rzeszy niemieckiej. Schönstedt, minister „sprawiedliwości," przyznał, że są wątpliwości formalne co do jego brzmienia — wypracowanego przez ten sam rząd, do którego Schönstedt należy — i że trzeba tę sprawę jeszcze raz zbadać w komisyi.

Mamy więc tu do czynienia z faktem, który dla rozwoju politycznego Niemiec pierwszorzędne posiada znaczenie. Zajmowano się nim szeroko przy obradach nad nowelą, a mianowicie: dążeniem rządu pruskiego do omijania parlamentu niemieckiego i prawodawstwa niemieckiego w celu przeprowadzenia ustaw reakcyjnych w reakcyjnym sejmie landratów pruskich. Nie z dobrej woli lub demokratycznego usposobienia zgodził się Bismarck na demokratyczne bądź co bądź prawo wyborcze do parlamentu niemieckiego. Bez powszechnego i równego prawa głosowania nie byłoby Niemiec, nie byłoby cesarstwa niemieckiego. Bismarck zgodził się więc na takie prawo wyborcze — dla przeprowadzenia celów dyplomatyczno-państwowych. Potem myślał on nieraz o zniesieniu lub ograniczeniu prawa, lecz rozumiał, że zamach na parlament przedstawia groźne niebezpieczeństwo. Otóż w parlamencie niemieckim - pomimo konserwatywno-klerykalnej większości — nie można dziś przeprowadzić praw z wyraźnem piętnem ustawy wyjątkowej przeciw ludności polskiej lub sferom robotniczym.

Zręczna, demagogiczna polityka decydującej partyi centrum, nie pozwala na takie zachcianki; centrum obawia się wychowawczych skutków demokratycznego systemu wyborczego. Wobec tego reakcya pruska chowa się coraz częściej pod skrzydła pruskiego partykularyzmu — do pruskiej izby sejmowej, odgrodzonej od wpływu ludności trzyklasowem prawem wyborczem. Przy obradach nad prawem o osadnictwie i prawem o łamaniu kontraktów starano się drogą niezręcznej, sztucznej interpretacyi pogodzić tekst bezprawnych ustaw z brzmieniem konstytucyi. Przy obradach nad projektem o robotnikach rolnych poniósł rząd klęskę wprost niebywałą; minister zaznaczył, że prawo musi być pod względem formalnym poprawione. W parlamencie zaś sekretarz rzeszy Niebending, gwałtownie zaatakowany przez interpelujących członków skrajnej lewicy, przyznał, że granice pomiędzy ogólno obowiązującemi prawami rzeszy a prawem pruskiem nie są tak wyraźnie zaznaczone, jak być powinno. Ustawa będzie więc zmienioną — o ile to się uda karkołomnej interpretacyi pruskich pracowników ministeryalnych. W dzisiejszem brzmieniu projekt jest nadzwyczaj niebezpieczny. Przewidując kary dla pracodawców, którzy przyjmują robotników rolnych po złamaniu kontraktu, naraża tysiące robotników rolnych na bezrobocie i nędzę. O wiele gorszym jest przepis, przewidujący karę dla tego, kto „namawia robotników wiejskich do bezprawnego porzucenia służby." Tym może być agent, a także brat lub znajomy robotnika wiejskiego, który wracając z miasta namówi go do wspólnego wyjazdu do fabryki, na lepsze warunki pracy. Projekt jest więc pod każdym względem prawem wyjątkowem; wywołał ogólne i słuszne oburzenie w całych Niemczech. Dla nas sprawa to pierwszorzędna, bo znaczna część robotników rolnych (stałych i sezonowych) w Niemczech — to Polacy. Dlatego też zapanowało niemałe oburzenie, gdy Koło polskie — po raz drugi — dnia 8 czerwca r. b. w sejmie pruskim zaznaczyło swe „demokratyczne" usposobienie „ostrego tonu"... milczeniem. Dopiero nadzwyczaj energiczne wystąpienie *Gazety* katowickiej przypomniało członkom Koła polskiego ich najelementarniejsze obowiązki. Przy obradach nad interpelacyą lewicy w parlamencie przemawiał w imieniu Koła ludowy poseł Brejski. Oświadczenie jego było jednak *bardzo* dwuznaczne, pomimo ostrych słów, skierowanych przeciwko ustawie w *dzisiejszem* brzmieniu. Widocznie poseł Brejski liczył się z temi sferami, które wpłynęły na dwukrotne milczenie Koła sejmowego w sprawie tak ważnej.

Projekt ustawy, o ile nie będzie cofnięty, wywoła na przyszłej sesyi parlamentarnej nadzwyczaj namiętne rozprawy. Chodzi bowiem o byt milionów ludzi.

*Kr.*

## NA MARGINESIE.

**Wyludnienie Francyi.** W nr. 14 *La Revue* pomieszczony jest ciekawy artykuł dr. Lowenthala w kwestyi wyludnienia Francyi. Autor zwalcza opinię, przeważającą wśród zajmujących się tą sprawą i twierdzenie, jakoby główną i wyłączną przyczyną tego zjawiska była wciąż słabnąca liczba narodzin. Opinia ta nie jest własnością XIX wieku. Już Karakalla, tyran, który uśmiercił do 200,000 osób, który wycinał w pień całe prowincye, zajmował się tworzeniem projektów zwiększenia liczby narodzin. Toż samo działo się w czasach Inkwizycyi. Pośród płonących stosów słychać głosy: „zamało małżeństw."

Później podobnie postępuje Ludwik XIV. Kraj gnie się pod ciężarem wojen, zarazy, głodu, trądu, a król usiłuje zachęcać do rodzenia dzieci.

Nie inaczej się przedstawia kwestya ta i dzisiaj. Podług obliczeń Bertillona, ojca, w Francyi co rok cyfra przedwczesnych skonów, możebnych do usunięcia, dochodzi do 500,000. Alkoholizm czyni straszne spustoszenia. Tuberkuły zabierają co rok przeszło 150,000 ludzi i zarażają do pół miliona. Gorączka tyfoidalna, tyfus, dysenterya, szkarlatyna i inne choroby nie zmniejszają się, jak w innych krajach Ospa też nie wygasa.

Obecnie około 160,000 dzieci umiera w wieku do lat dwu. Śmiertelność miast francuskich znacznie przewyższa śmiertelność miast angielskich. Armia daje procent dwa razy większy od armii niemieckiej.

Na zasadzie tych danych dr. Löwenthal dochodzi do wniosku, że obok słabnącej liczby narodzin wielkiem niebezpieczeństwem dla Francyi jest przedwczesna śmiertelność, czemu przecież możnaby zapobiedz.

## Z PRASY.

— *Gazeta Polska* przytacza ze sprawozdania urzędowego konsula angielskiego w Warszawie następującą charakterystykę obecnego położenia:

„Wybuch wojny — pisze konsul — był ciężkim ciosem dla wszystkich gałęzi przemysłu, podnoszącego się powoli po przesileniu, które rozpoczęło się przed 4 laty. Naturalnym skutkiem wojny było ogólne ograniczenie kredytu, ponieważ panuje obawa, że wiele firm nie-

pierwszorzędnych skorzysta z teraźniejszego stanu rzeczy, aby zawiesić wypłaty. W całym kraju panuje wielki brak zaufania i dlatego większa część fabrykantów woli zaprzestać na razie produkowania i czekać na dalszy rozwój stosunków. Ograniczenie produkcyi jest znaczne, ale mimo to magazyny zapełniają się i panuje obawa, że liczne firmy nie wytrzymają przesilenia. Liczne fabryki są czynne tylko przez 4 albo 5 dni na tydzień i wielu robotników uwolniono. Obliczają, że w samym okręgu łódzkim jest 40,000 robotników bez zajęcia. Zarządy miejskie, towarzystwa dobroczynności i osoby prywatne wydają na wielką skalę obiady bezpłatne i istnieje zamiar rozpoczęcia robót publicznych, aby dostarczyć zatrudnienia pozbawionym zajęcia, ale na razie panuje wielka nędza. Wagony, kursujące na łódzkiej kolei fabrycznej, zawierają tylko połowę towarów, ekspedyowanych w tych samych miesiącach roku zeszłego.

Panuje tu przekonanie, że dopóki trwa wojna, stosunki handlowe i komunikacyjne nie polepszą się i że wiele firm niezbyt silnych upadnie, ale za to natychmiast po ukończeniu wojny uwydatni się ogromne ożywienie w handlu i przemyśle, tem więcej, że produkcya jest obecnie bardzo ograniczona. Rosyanie wydają w Syberyi wielkie sumy na armię i to może doprowadzić później do wytworzenia się znacznego handlu z tym krajem. Ponieważ kolej Syberyjska jest zajęta głównie transportami wojskowymi, więc obecnie handel z Syberyą jest niewielki, bo towaru nie można wysyłać. Ale właśnie teraz zapotrzebowanie w Syberyi jest bardzo wielkie i trzeba będzie prędzej czy później uzupełnić zapasy. Rynek syberyjski rozwija się z wielką szybkością i wielu sądzi, że ten rozwój będzie jeszcze przyspieszony w następstwie wojny. Powszechnie panuje przekonanie, że firmy, które wytrzymają przesilenie teraźniejsze, będą musiały po zawarciu pokoju rozszerzyć swe fabryki, aby uczynić zadość wielkiemu popytowi, który wtedy niewątpliwie nastąpi. Przypominają tu nieustannie podniesienie się handlu i przemysłu podczas wojny rosyjsko-tureckiej i spodziewają się napewno, że taki sam będzie skutek teraźniejszej wojny wschodniej.

Firmy angielskie — powiada dalej konsul — powinny przygotować się zawczasu na naprawienie się położenia i być w pogotowiu, aby otrzymać odpowiedni udział w zamówieniach na maszyny, narzędzia warsztatowe, chemikalia, wełny itd. Wielkie sumy, wydawane obecnie na wojnę, pozostają prawie zupełnie w Rosyi; za granicę dopływa bardzo mało pieniędzy.

Zupełnie inaczej, niż na przemysł, oddziaływa wojna na rolnictwo, zwłaszcza na Litwie. Ponieważ w Królestwie Polskiem i na Litwie nie zawezwano zapasów pod broń, wojna nie wpłynęła na życie chłopa i liczbę sił pracujących na roli.

Rzeczywistą przyczyną zastoju w przemyśle i handlu jest brak kredytu. Między innymi ucierpieli także garbarze warszawscy przez bankructwo wielkiego handlarza skórami w Warszawie. Zmniejszył się przez to popyt na skóry garbowane, a następstwem tego było ograniczenie produkcyi. Inną przeszkodą w handlu są wysokie ceny skór surowych, chociaż w gruncie rzeczy i tu brak kredytu i zaufania odgrywa główną rolę. Przy wybuchu wojny fabryki sukna w Białymstoku spodziewały się wielkiego powiększenia produkcyi, skutkiem silniejszego zapotrzebowania przez armię, ale nadzieje te nie ziściły się; przeciwnie, popyt, a tem samem i produkcya zmniejszyły się. W początkach wojny powstrzymano wszystkie roboty kolejowe, obecnie minister kolei żelaznych rozkazał rozpoczęcie budowy niektórych linij. Oczekują powszechnie, że po wojnie nastąpi okres ciężkiego opodatkowania handlu i przemysłu, równocześnie z przedsięwzięciem środków dla ożywienia rozwoju przemysłu i rolnictwa."

— W nr. 40 *Przemysłowca*, tygodnika wychodzącego w Galicyi, znajdujemy artykuł o „Kobiecie ogrodniczce," który ze względu na słuszność zawartych w nim uwag, przytaczamy w całości:

„Do osób, posiadających czas i środki na pouczanie ludu w kwestyi ogrodnictwa, przedewszystkiem zaliczyć winniśmy nasze kobiety, w szczególności zaś te, które, stale mieszkając na wsi, najpodatniejsze posiadają ku temu pole.

Ogrodnictwo nasze jedynie wtenczas w odpowiedni prosperować może sposób i stać się doniosłym przedmiotem eksploatacyi ekonomicznej, jeżeli w celu podniesienia i wyzyskania go poświęcimy mu prócz zasobów materyalnych odpowiedni zasób inteligencyi, czyli innemi słowy, jeżeli kwestyę ogrodnictwa traktować będziemy z punktu widzenia naukowego, opartego na wykształceniu fachowem. Rozpowszechniony u nas dyletantyzm stanowi główną zaporę na każdem polu rozwoju ekonomicznego. O ile zaś kobiety powołane są w pierwszej linii do zwalczania go w dziedzinie przemysłu ogrodnizcego, wykażemy poniżej.

Już z samych względów ekonomicznych nadaje się ogrodnictwo jako zajęcie najodpowiedniejsze dla kobiet. Pomijając bowiem pracę w cieplarniach, która poniekąd z powodu silnej zmiany temperatury szkodliwie oddziaływać może na organizm ludzki, przyznać musimy, że wszelkie inne roboty ogrodnicze nawet najsłabszym organizmom polecić można, jako środek wzmocnienia sił fizycznych. Ruch na wolnem powietrzu i umiejętnie podzielona praca w ogrodzie krzepi nietylko ciało, ale podnieca i odświeża umysł.

Kto miał sposobność zwiedzenia najpoważniejszego, niemieckiego zakładu ogrodniczego dla kobiet w Marienfelde pod Berlinem, ten wyniósł stąd niezawodnie przeświadczenie, że niejedna z naszych Polek, udająca się za granicę dla poratowania zdrowia, w daleko lepszy i skuteczniejszy, a przedewszystkiem tańszy sposób odzyskałaby nadwątlone swe siły, gdyby około domu oddała się umiejętnej pracy ogrodniczej. Między uczenicami wspomnianego zakładu znajduje się wielka liczba osób, które wysłano tam za poleceniem lekarskiem w celu wzmocnienia nerwów po przebytej, ciężkiej chorobie. Trudnią się tylko przejściowo, jako hospitantki, pracą ogrodniczą. Wszystkie niemal opuszczają zakład pokrzepione na ciele i duszy.

Czyżby i u nas nie można chociaż na mniejszą skalę ufundować podobnego zakładu?

Po za korzyścią hygieniczną przedstawia przemysł ogrodniczy wielką doniosłość pod względem ekonomicznym. Jarzyny i owoce bowiem coraz bardziej przestają być luksusowym artykułem spożywczym, a ludność nawet najbiedniejsza odczuwa potrzebę zaopatrzenia się w artykuły ogrodnictwa, względnie sadownictwa, które tworzy znaczną część jej pożywienia.

Kobiety nasze inteligentne, które zamiast spędzać czas wśród „dolce far niente," zajęłyby się sadzeniem drzew owocowych, prowadzeniem szkółek, uszlachetnianiem dziczków itp. — byłyby więc w dwójnasób społecznie przydatnemi, a mianowicie: a) wzmacniając własną siłę fizyczną, przyczyniałyby się bezpośrednio do wytworzenia silniejszej i zdrowszej przyszłej generacyi; b) zasiliłyby zastęp producentów męzkich, a tem samem podniosły ogólną produkcyjność materyalną społeczeństwa.

Trzecią, bodaj najważniejszą korzyścią, wypływającą z naukowego zainteresowania się sprawą ogrodniczą po stronie żeńskiej naszej inteligencyi — byłoby bezpośrednie przyczynienie się do wykorzenienia partactwa ogrodniczego, coraz więcej szerzącego się po naszych sadach i ogrodach, a polegającego na tem, że wielu t. zw. ogrodników o istocie swojego zawodu najmniejszego nie ma pojęcia. Nasi wiejscy ogrodnicy — to przeciętni — abstrahując od bardzo nielicznych wyjątków — oficyaliści, nieposiadający żadnego fachowego wykształcenia, używani po większej części jako robotnicy lepszej branży — do sadzenia jarzyn, czyszczenia ganków i trawników, względnie obcinania gałęzi drzew owocowych. Gdyby więc dziedziczki i dzierżawczynie nasze, mające niezaprzeczenie czas i środki na wydoskonalenie się w przemyśle ogrodniczym, na mocy pozyskanego wykształcenia fachowego przyjęły na siebie inteligentne kierownictwo pracami ogrodniczemi, wówczas wpływ ich na rozwój ogrodnictwa oddziaływałby także pośrednio na podniesienie całego stanu ogrodnictwa. Że zaś zawód ogrodniczy jako taki nie ogranicza się li tylko na znajomości najelementarniejszych reguł siejby, względnie sadzenia, wykaże nam najdosadniej powyższe zestawienie wykładów w kursie, przeznaczonym dla kobiet-ogrodniczek w Marienfelde.

Nauka teoretyczna obejmuje:

1) Sadownictwo: sadzenie, uszlachetnianie, pielęgnacya drzew owocowych i krzewów ogrodowych, drzewocięcie, nauka sortowania, przechowywanie i zużywanie owoców, cieplarnia sadownictwo, sadownictwo doniczkowe.

2) Hodowla jarzyn: hodowla jarzyn polna, zowa, cieplarniana, inspektowa, zużytkowanie i konserwowanie jarzyn.

3) Hodowla kwiatów ze szczególnem uwzględnieniem róży.

4) Dendrologia: pielęgnacya, szczepienie i pomnażanie, oraz opis najważniejszych rodzajów drzew z uwzględnianiem wartości ich dekoracyjnej dla ogrodnictwa zakładowego.

5) Ogrodnictwo zakładowe i rysunki: wykonywanie planów ogrodniczych, zakładanie ogrodów.

6) Miernictwo i niwelacya.

7) Nauka o składzie ziemi i mierzwieniu.

8) Botanika: anatomia, fizyologia, systematyka, morfologia, geografia roślinna, choroby roślin.

9) Chemia: najważniejsze zasady chemii organicznej i anorganicznej w zastosowaniu do potrzeb ogrodnictwa i sadownictwa, i mineralia najważniejsze do odżywiania roślin.

10) Zoologia: zwierzęta najpożyteczniejsze dla ogrodnictwa i sadownictwa.

11) Geometrya.

12) Koszykarstwo.

13) Hodowla pszczół.

14) Najpotrzebniejsza znajomość prawa.

15) Książkowość i korespondencya itd.

Potrójna korzyść inteligentnego ogrodnictwa: 1) zdrowie, 2) korzyść materyalna, 3) wpływ dodatni na rozwój jednej z najpoważniejszych gałęzi przemysłu."

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** Tow. dobroczynności otrzymało z funduszów m. Warszawy 10,000 rb. na rozdanie pomiędzy robotników pozbawionych, pracy.

— W Warszawie powstaje Towarzystwo żydowskie ochrony kobiet.

— Cech rzeźników warszawskich otrzymał pozwolenie na założenie przy urzędzie starszych biblioteki dla swych pracowników.

— W Petersburgu powstaje biuro stręczenia służących, które każdą poleconą osobę będzie poddawało badaniu lekarskiemu.

— W Krakowie powstało stowarzyszenie polskich pomocników księgarskich, w celu strzeżenia godności stanu, wzmocnienia poczucia łączności koleżeńskiej, obrony interesów materyalnych członków oraz wdów i sierot po nich.

— W obwodzie regencyjnym bydgowskim, radca szkolny zwrócił się z uwagą do tych nauczycieli szkół ludowych, którzy w nazwisku swojem mają samogłoskę nosową „ą", ażeby ją zamienili na „on" i „prawidłowo" po niemiecku pisali nazwisko.

— W Zaborzu na G. Śląsku, urzędowo zamknięto czytelnię dla kobiet, z powodu znalezienia podczas rewizyi policyjnej „Śpiewnika" ks. Damrotha i dwu gier towarzyskich, wydanych przez Józefa Chociszewskiego. Sąd oparł swój wyrok na opinii znanego komisarza policyi, Maedlera, który uznał, że zarówno „Śpiewnik," jak i gry, wobec stosunków, panujących

na Śląsku, „mogłoby podniecać Prusaków polskich przeciw Prusakom niemieckim."

— Z Nowego-Yorku donoszą, że skutkiem nieporozumień pomiędzy przedsiębiorcami robót budowlanych a robotnikami przedsiębiorcy uchwalili wydalenie 17,300 robotników; ich przywódcy postanowili skłonić towarzyszów w dziesięciu innych gałęziach przemysłu budowlanego do zawieszenia pracy. Liczba strejkujących wynosi obecnie 50,000, a za kilka dni przewidują wzrost jej do 100,000.

**Szkoły i wychowanie.** Z polecenia władzy ministeryalnej, kuratorzy okręgów naukowych corocznie przedstawiać mają ministeryum oświaty, sprawozdania o dokonanych pod kierunkiem nauczycieli podmiejskich wycieczkach szkolnych, a także dane o przedsiebranych środkach, zmierzających do rozwoju sił fizycznych młodzieży szkolnej.

— Egzaminy powakacyjne w uniwersytecie warszawskim rozpoczną się d. 2 września.

— Opłatę szkolną w gimnazyum męzkiem w Kaliszu podwyższono do 60 rb. rocznie.

— Celem polepszenia stanu zdrowia i rozwoju sił fizycznych młodzieży szkolnej, ministeryum oświaty zaleciło stosowanie środków następujących: organizowanie wycieczek podczas feryj letnich i Bożego Narodzenia do miejscowości, obfitujących w zabytki historyczne, aby tą drogą zapoznać młodzież z rzeczami godnemi widzenia w okolicy tego miasta, gdzie się kształci. Na wiosnę i wczesną jesienię organizowane być mają krótkie wycieczki, do najbliższych miejscowości, z muzyką i śpiewami chóralnymi, przytem rodziny uczniów będą mogły brać udział w tych wycieczkach. Dla dziatwy szkolnej, pozostającej na lato w mieście, uznano za pożyteczne urządzanie różnych ćwiczeń fizycznych na powietrzu, a więc jazdy na łódkach, kąpieli, pływania itp. Uczniowie klas wyższych mają być obznajmiani, zapośrednictwem oficerów, zarządzających w oddziałach wojska składami broni, z bronią i jej używaniem. Przedstawiciele personelu naukowo-wychowawczego, z udziałem obywateli miejscowych starać się mają o zakładanie w różnych miejscowościach letnisk i sanatoryów, z odpowiednim regulaminem i pod dozorem lekarza szkolnego, terenów gimnastycznych, kręgielni, łazienek, spacerów łódkami, bibliotek itd.

— W *Praw. Wiest.* ogłoszono nowe prawo o przekształceniu instytutu lekarskiego dla kobiet w Petersburgu. Prawo to równouprawnia kobiety lekarki z mężczyznami lekarzami, nadaje lekarkom możność ubiegania się o stopnie naukowe lekarskie w uniwersytetach i akademii lekarskiej oraz ustanawia dla słuchaczek starozakonnych trzyprocentowy stosunek liczebny.

— Od 13 do 17 września Tow. pszczelniczo ogrodnicze urządza kurs pięciodniowy zdobnictwa kwiatowego. Opłata 10 rb. W tymże Towarzystwie dnia 21 września rozpocznie się kurs 10 dniowy zużytkowania owoców i warzyw na przetwory i konserwy, a następnie zapis kandydatów na dwuletnie kursa pszczelniczo-ogrodnicze.

— Do instytutu agronomiczno-leśnego w Nowej Aleksandryi przyjmowani będą przedewszystkiem kandydaci, którzy przez dwa lata zrzędu zdawali wymagany egzamin konkursowy.

— Austryackie ministeryum wojny wydało rozporządzenie, ażeby w szkołach kadetów w Galicyi, na Śląsku i niektórych w Wiedniu naukę religii wykładano po polsku, a do programu wprowadzono 6 godzin tygodniowo języka polskiego.

— Objaśnień o studyach w akademii górniczej w Przybramie udziela p. Henryk Mach w Dolinie (Galicya) i p. Józef Milde w Silniczce (gub. Piotrkowska).

— Biuro informacyjne słuchaczek uniwersytetu Jagiellońskiego, urzędujące w Collegium novum, udziela bezpłatnie wszelkich informacyj co do studyów uniwersyteckich w kraju i zagranicą, co do mieszkań, wiktu itd. Pośredniczy nadto między członkami a publicznością w wyszukiwaniu odpowiedniej pracy.

**Wiadomości naukowe.** Rada uniwersytecka ogłosiła konkurs im. Chojnackiego, z nagrodą 900 rb., za najlepszą pracę popularną z dziedziny medycyny. O nagrodę ubiegać się mogą autorowie prac oryginalnych, drukowanych lub w rękopisach. Prace na konkurs przedstawiane być winny w języku rosyjskim najpóźniej do dn. 1 kwietnia 1906 r. Wybór języka, w którym ma być drukowany utwór, nagrodzony na konkursie, pozostawiono uznaniu autora.

**Ze sztuki.** Z inicyatywy Gabryela Monrey, redaktora czasopisma *Les Arts de la Vie*, utworzył się w Paryżu komitet celem zbierania składek dla nabycia bronzu Rodin'a „Le Penseur," jednej z głównych ozdób tegorocznego „salonu." Posąg ten ma być ofiarowany ludności paryskiej i umieszczony na jednym z placów stolicy, nieposiadającej dotychczas, po za zbiorami muzeum luksemburskiego, żadnego monumentalnego dzieła znakomitego rzeźbiarza.

**Zdrowie publiczne.** *Praw. Wiest.* ogłasza „Najwyżej ustanowiona komisya do walki z zarazą dżumy, wzywa: lekarzy, studentów medycyny wyższych kursów i felczerów, pragnących być delegowanymi na Kaukaz i do obwodu Zakaspijskiego, w celu przedsiewzięcia środków zapobiegających cholerze, ażeby zgłaszali się do zarządu głównego inspektora lekarskiego: ministeryum spraw wewnętrznych lub Teatralna nr. 3 w Petersburgu, w dniach biurowych, od 12-ej do 4 po poł."

**Literatura i prasa.** Księgarnie polskie w Prusach otrzymały zawiadomienie, że pomiędzy innemi, następujące książki zostały zakazane: Adama Mickiewicza „Księgi pielgrzymstwa", St. Tarnowskiego „Dzieje nasze w ostatnich 100 latach" i Grabiańskiego „Historya Polski."

— W Paryżu przestał wychodzić dziennik angielski p. t. *Daily Messenger.*

**Sprawy ekonomiczne.** Zatwierdzono ustawy następujących Towarzystw: oszczędnościowo-pożyczkowego rzemieślników i drobnych kupców we Włocławku; oszczędnościowo-pożyczkowego rzemieślników w Łodzi; oszczędnościowo-pożyczkowego w osadzie Rzgów w pow. Łódzkim i III Tow. oszczędnościowo-pożyczkowego w Łodzi.

**Koleje i komunikacye.** Przywrócono przyjmowanie prywatnych ładunków zwyczajnych do stacyj kolei Syberyjskiej od Czelabińska do Krasnojarska włącznie oraz ładunków pośpiesznych do wszystkich stacyj kolei Syberyjskiej i Zabajkalskiej do Bajkału włącznie.

**Poczta.** Główny zarząd poczt zawiadamia, że przyjmowanie przesyłek pocztowych do poczt polowych w Mandżuryi południowej, poczynając od Telina, zostało zniesione. — Inne rozporządzenie informuje, że nietylko znajdujący się już w armii czynnej, lecz wogóle wszyscy, powołani pod broń skutkiem mobilizacyi, mają prawo przesyłać bezpłatnie listy i pocztówki ze wszystkich stacyj pocztowych państwa, byleby tylko listy te były zaopatrzone w pieczęć zwierzchności wojskowej i odniesione do biura pocztowego razem z korespondencyą urzędową.

**Pożary.** W miasteczku Cimkowicze, pow. Słuckim, spaliło się 121 domów mieszkalnych i 70 budynków gospodarskich; w okolicach Wilna w ciągu jednego miesiąca zanotowano 90 pożarów; osadę Wierzbnicę w pow. Radomskim, powtórnie nawiedził pożar — spaliło się 88 domów prócz zabudowań gospodarskich; w osadzie Młodzowy, pow. Pińczowskim, zgorzało 20 posiadłości z całym dobytkiem.

## OFIARY.

*Na głodnych.* Dobrzański z Garwolina 1 rb.

*Na wpisy dla studentów.* J. W. 14 rb.




Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 29 Іюля 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8